Cena 7

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II Warszawa, 12 maja 1946 r. Nr. 18 (24

Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka
CW 9013

Witold Bieńkowski

Wstęp do rozważań politycznych

Jednym z charakterystycznych objawów czasów ostatnich jest u katolików niechęć do poważnego i realnego myślenia politycznego. Takie powiedzenia, jak „brzydzę się polityką", „polityka jest najgorszą i najniemoralniejszą dziedziną życia społecznego" słyszy się ostatnio nie tylko od ludzi pozbawionych zmysłu politycznego, ale również i od tych, którzy stracili nadzieję na możność wzięcia udziału w polskim układzie sił politycznych.

Jakiekolwiek odżegnywanie się od polityki nie będzie miało żadnego wpływu na fakt jej istnienia. Musi natomiast wywołać skutek politycznej nieobecności katolików. Układanie stosunków między ludźmi w płaszczyźnie społecznej czy państwowej jest istotą polityki — wyeliminowanie zaś katolików poza nawias życia państwowego czy społecznego nie pokrywa się z niczyimi interesami: przeciwnicy katolicyzmu są bowiem ludźmi realnymi i znają wartość potencjalną katolicyzmu w Polsce — katolicy zaś zapewne rozumieją, że wartość potencjalna katolicyzmu może być istotną siłą społeczną i państwową tylko przy posiadaniu zabezpieczonych praw i gwarancji politycznych.

Słusznie postawił mi autor wydanej ostatnio broszury „Katolicy radykalni" zarzut, że w pracach swoich przywiązuję zbyt małą wagę do politycznej strony zagadnień katolickich w Polsce.

Słusznie również domagają się moi korespondenci i rozmówcy „nadania politycznej barwy", lub „politycznej konkretyzacji celów i zadań" temu radykalnemu kierunkowi katolickiemu, który propaguję.

I dlatego, że w artykule niniejszym pragnę dać wstępny zarys rozważań politycznych — piszę w pierwszej osobie. Aby tym mocniej zaakcentować osobistą odpowiedzialność za postawione tezy rozważań, oraz ułatwić ewent. przeciwnikom rzeczową krytykę.

*

W wydanej konspiracyjnie podczas wojny broszurze „Polityka katolicka" postawiłem tezę konieczności stosowania przez katolicyzm społeczny takiej polityki, która by katolików łączyła a nie dzieliła. Tezę tę motywowałem w szczegółach wyjaśnieniem tego stanu rzeczy, że katolicy są członkami wielu partii politycznych, że żadne katolickie prawo moralne i społeczne nie zbrania katolikom należenia do tych partii politycznych, w których programie i metodach działania nie ma akcentów wrogich katolicyzmowi i zagrażających moralności katolickiej — a zatem że wszelkie próby monopolizowania katolicyzmu przez jakąś jedną, nazwaną i określoną, partię polityczną byłoby działaniem szkodliwym dla akcji odrodzenia katolickiego w Polsce. Teza ta w rozważaniach realizacyjnych i próbach praktycznego ich wykonywania wyrażała się w tworzeniu katolickich ośrodków odrodzeńczych na terenach tych partii politycznych, które skupiały mniej lub więcej uświadomionych katolików. Katolicka praca odrodzeńcza na terenach poszczególnych partii politycznych miała być, i w wielu wypadkach była, prowadzona przez wybitnych członków tych partii.

Dzisiaj należy stwierdzić i przypomnieć, że katolicka praca konspiracyjna czasu wojny spełniała do pewnego stopnia rolę Akcji Katolickiej, że tezy polityczne przez tego rodzaju „akcję" wysuwane miały charakter zastępczy dla nie mogącego się rozwijać oficjalnego katolickiego ruchu społecznego, podlegającego kompetencjom Hierarchii Kościoła. Dodać również należy, że polska polityka niepodległościowa czasu wojny zakreślała wszystkim partiom politycznym cel najważniejszy i najbliższy, jakim była walka z okupantem, i że istnienie sporów i tarć o programy polityczne należało do przejawów słabości narodowej, przeszkadzającej w scementowaniu wszystkich sił do jak najskuteczniejszego udziału Polski Podziemnej w walce z wrogiem.

Przypomnienie dzisiaj, w warunkach zmienionych, tezy o specjalnej polityce katolickiej z czasów wojny ma swoje uzasadnienie, chociaż taki rodzaj polityki w życiu społecznym podlega obecnie bezpośrednim kompetencjom i kierownictwu Hierarchii Kościoła.

Uzasadnienie tego przypomnienia widzę przede wszystkim w tym, że społeczny kierunek reprezentowany przez katolików radykalnych uważam za najlepiej gwarantujący możliwości realizacyjne dla katolickich zasad społecznych, w nim widzę właściwy rozwój aktualnej katolickiej myśli społecznej, oraz wydobycie i uaktywnienie katolickich sił odrodzeńczych. Z tego też powodu należy sądzić, że katolicki społeczny ruch radykalny nie może być udziałem tylko jednej grupy, ale powinien przeniknąć do wszystkich środowisk katolickich. Stało by się najgorzej, gdyby i tym razem ujawniły się rozbieżności wśród katolików, aby katolik radykalny i katolik konserwatywny nie doszli do porozumienia w takiej najistotniejszej sprawie, jaką jest budowanie społecznego życia polskiego na zasadach sprawiedliwości chrześcijańskiej. Przyjmując jako warunek świadomość działania w czasach radykalnych i rewolucyjnych przemian.

Osobiście jestem najgłębiej przekonany, że sposób myślenia i działania katolików radykalnych stanie się w niedługim czasie udziałem całego realnego i społecznie czynnego społeczeństwa katolickiego w Polsce.

*

Dążenie do uzyskania praw i gwarancji politycznych musi być zadaniem katolików polskich. Wystarczy bowiem stwierdzić, że nie ma w tej chwili w Polsce żadnego ugrupowania politycznego, które by mogło poważnie i skutecznie reprezentować interesy katolickie.

Interesy katolickie polegają, mówiąc najogólniej, na prawie wniesienia do życia społecznego i państwowego zasad katolickiej moralności i katolickiego prawa społecznego. Nie trzeba dodawać, że prawo to powinno być ustawowo zagwarantowane.

I tak jak zasadniczym błędem popełnianym przez przeciwników katolicyzmu jest traktowanie go poprzez negatywną ocenę działalności jakiejś partii politycznej — tak z drugiej strony jest błędem katolików angażowanie katolickich zasad moralnych i społecznych do taktycznych rozgrywek partii politycznych.

Katolicyzm społeczny nie jest jakąś nadpartią polityczną, nie rości pretensji do prawa nadrzędności politycznej w życiu społecznym i państwowym. Jest czynnikiem życia społecznego. Katolicka doktryna społeczna obowiązuje katolików tak samo, jak marksowska doktryna obowiązuje marksistów. I jak marksistów nie reprezentuje tylko jedna partia polityczna, tak i polityczne metody realizacyjne katolików mogą być różne.

Jedno jest pewne: — realizatorów doktryny marksowskiej łączą jej zasady, realizatorzy doktryny katolickiej są zobowiązani przestrzegać niezmiennych praw moralności chrześcijańskiej.

W politycznych rozgrywkach międzypartyjnych katolicy nie angażują katolicyzmu, choćby nawet chcieli. Normy i prawa katolickie są dla wszystkich takie same. Stron. Narodowe mogło przegrać sto razy i sto razy może przegrać Stron. Pracy, lub jakiekolwiek inne głoszące, że skupia ludzi „którzy się modlą". Społeczna doktryna katolicka nie przegra z powodu czyichkolwiek błędów politycznych, lub fałszywego jej interpretowania.

Społeczna doktryna katolicka żyje dla danego społeczeństwa tak długo, jak długo istnieją w nim katolicy. Stąd obowiązek katolików polskich domagania się praw i gwarancji politycznych, aby żywy i istotny katolicki czynnik społeczny nie był wyeliminowany poza nawias.

*

Rozdział Kościoła od Państwa nie wyeliminował z życia społecznego czynnika katolickiego. I taka eliminacja nie mogła nawet leżeć w intencjach ustawodawcy. Rozdział Kościoła od Państwa był aktem politycznym, nie dotykającym w niczym istotnej siły katolicyzmu.

Stwierdzić jednak należy, że akt polityczny tego rodzaju stworzył nowe warunki dla rozwoju społecznego życia katolickiego. Nie oceniając charakteru i pobudek samego aktu politycznego, można powiedzieć z całkowitą odpowiedzialnością, że nowe warunki dla katolickiego życia społecznego są lepsze, bo trudniejsze. Zmuszają do pracy istotnej, do wydobycia wszystkich wewnętrznych wartości moralnych, aby katolicyzm społeczny dalsze istnienie i rozwój opierał na konsekwentnej i żywej wierze swoich wyznawców.

Domaganie się przez katolików praw i gwarancji politycznych nie sprowadza się bynajmniej do krytyki ustawy rozdzielającej Kościół od Państwa. Taka krytyka nie leży w niczyich intencjach, a już najmniej w intencjach katolików radykalnych. Przyjmujemy bowiem za pewnik, że nie dane statystyczne z ksiąg stanu cywilnego, ale prawdziwy katolicyzm czynów ludzkich stanowi o sile społecznej i o prawie domagania się gwarancji politycznych.

Prawa i gwarancje polityczne, jakich katolicy mają obowiązek się domagać, dotyczą w pierwszym rzędzie istnienia warunków przychylnych rozwojowi katolickiej myśli społecznej. Aby we wszystkich ustawach państwowych liczono się z uczuciami religijnymi katolików, aby aktami politycznymi nie wywoływano efektów niepotrzebnych. Aby wolność religijna, jaką cieszy się Kościół Katolicki w Polsce, nie była umniejszana aktami typu politycznego, wywołującymi nikomu niepotrzebne zadrażnienia.

Tylko bardziej szczegółowe rozpatrywanie sprawy przynieść może konkretne dane. W obecnym artykule chodzi mi przede wszystkim o takie przedstawienie sprawy, które by nie utrudniało, a ułatwiło wszystkim zrozumienie potrzeby istnienia takiego klimatu politycznego, w jakim współżycie wszystkich obywateli Rzeczypospolitej rozwijać się winno.

I dlatego trudno jest pisać o polityce partyjnej. Trudno jest przeciwstawiać się przeciwnikom katolicyzmu na innej, niż państwowa, platformie politycznej.

*

Polityka państwowa powinna kierować się zasadami nadrzędnymi w stosunku do interesów wszystkich, łącznie z rządzącymi, partii politycznych. Jest wiadomym, że główne zasady polityki państwowej pozostaną niezmienne, niezależnie od rządzącego reżimu. Polityka państwowa posiada specjalne przywileje i specjalne obowiązki.

I jeśli do przywilejów polityki państwowej należy zaliczyć jej ostateczne i autorytatywne wskazania, obowiązujące wszystkich obywateli, a dotyczące niezawisłości, integralności, porządku i sprawiedliwości w państwie — tak do jej obowiązków należy użycie wszystkich czynników i sił społecznych dla zapewnienia państwu, **strzeżonego i wypracowywanego przez politykę państwową, rozwoju wewnętrznego**, oraz właściwej i należnej mu pozycji międzynarodowej.

Katolicyzm społeczny nigdy nie był i nie może być obecnie „niezauważony" przez politykę państwową. Katolicyzm społeczny był, jest i będzie brany pod uwagę tak długo, jak długo siła potencjalna katolicyzmu stanowić będzie nieodłączny czynnik życia społecznego w Polsce.

Wykonawcy polityki państwowej, niezależnie od kierunku rządzącego, muszą dążyć do współdziałania z katolikami, choćby tylko z tego powodu, że żaden realny polityk nie stworzy planu stabilizacji stosunków społecznych bez uwzględnienia czynnego udziału katolików w życiu społecznym i państwowym. Jest to aksjomat potwierdzony przez wielowiekową ciągłość polskiej polityki państwowej, nie wyłączając obecnie rządzącego kierunku politycznego.

Demokratyczna forma ustroju obecnego, stanowiąca treść polskiej polityki państwowej, musi się opierać na koncepcji współrządzenia Polską wszystkich grup i kierunków demokratycznych. I jak słucham z uwagą zapewnień, że nie ma obecnie w Polsce tendencji do rządów monopartyjnych i jak wiele nieprzyjemnych przejaskrawień traktuję jako niezręczności i gaffy polityków pierwszego okresu przejściowego — tak jestem przekonany o możliwości pełnego zrealizowania koncepcji współrządzenia Polską przez wszystkie ugrupowania i kierunki demokratyczne.

Aby uniknąć nieporozumień w niniejszych rozważaniach stwierdzam, że nie ma dostatecznych danych na to, aby za ten stan rzeczy winić tylko obecną politykę państwową. Wina leży także po stronie katolików, którzy nie zdobyli się dotąd na wyraźną koncepcję polityczną

*

Poddanie się jakimkolwiek aktualnym koniunkturom politycznym wywołuje przerost i supremację taktyki nad treścią. Prawo do zdecydowanego i ważkiego głosu posiada ten, kto koniunkturę tworzy, lub na nią bezpośrednio wpływa. Czynnikiem niepotrzebnym i lekceważonym jest taki kierunek, który poszukuje miejsca w koniunkturze politycznej, na którą nie ma bezpośredniego i ważnego wpływu.

Katolicy radykalni różnią się zasadniczo pod względem światopoglądowym od obecnych wykonawców polskiej polityki państwowej. Nie mniej posiadają wszystkie walory czynnika zdecydowanego na współtworzenie nowej polskiej rzeczywistości społecznej.

Czy reprezentują siłę polityczną, którą przeciwnicy katolicyzmu mogli by określić jako siłę godną miana partnera?

Nie. Jeszcze nie. I nie dlatego nie, że istnieje zamało katolików podzielających radykalny i postępowy sposób myślenia społecznego i politycznego.

Dlatego nie, że aby móc wyprowadzić siłę potencjalną społecznego katolicyzmu radykalnego do roli czynnika współdzia-

Biblioteka Instytutu Bałtyckiego w Bydgoszczy
DM 19105

łającego — należy posiadać gwarancję pozyskanych i zabezpieczonych praw politycznych.

Istnieje dotychczas wiele nieuregulowanych kwestii. Stosunek z Kościołem Katolickim, przepisy wykonawcze do nowego prawa małżeńskiego, brak udziału katolików w przygotowywanej reformie ustroju szkolnego etc. etc.

Nie są to sprawy drobne.

Powiedzieć o tym trzeba tak samo szczerze, jak szczerze się mówi o wyraźnej woli współdziałania w tworzeniu nowej rzeczywistości społecznej i jak szczerze się potępia niechęć do realnego i koniecznego myślenia politycznego.

Witold Bieńkowski

Błażej Włodarz

O.N.Z. i zagadnienie trwałego pokoju

Stworzona po zwycięskiej wojnie przez rządy przodujących w świecie państw „Organizacja Narodów Zjednoczonych" postawiła sobie za cel — wypracowanie i utrwalenie między zjednoczonymi w niej narodami pokojowego współżycia. Obok rozstrzygania zagadnień politycznych i gospodarczych w skali międzynarodowej, do kompetencji „O. N. Z." ma należeć także zadanie ułożenia zgodnej — raz na zawsze — współpracy narodów we wszystkich najważniejszych dziedzinach życia.

W związku z tym i w ramach kardynalnych zamierzeń wspomnianej instytucji, odbyły się już, względnie odbywają kolejno liczne kongresy, konferencje i zjazdy międzynarodowe, na których omawiane są ważniejsze problemy organizacyjne oraz ustalane wytyczne dla dalszych poczynań w dziele realizacji wiecznego pokoju. Radzono dotychczas nad międzynarodową ochroną pracy, zdrowia, bezpieczeństwa, omawiano zagadnienie współpracy finansowej, prasowej, pocztowej, rolniczej, komunikacyjnej, oświatowej i t. p. W wyniku narad zostały powołane do życia odpowiadające tym i innym zadaniom stosowne komisje, jak: finansowa, odszkodowań, prawnicza, odbudowy, pocztowa, ochrony pracy i zdrowia, prasowa, komunikacyjna, przemysłowa, oświatowa, rolnicza, handlu, względnie wymiany międzynarodowej, bezpieczeństwa i t. d. Słowem — możnaby rzec, że wszystkie najważniejsze problemy, mogące mieć decydujące znaczenie dla współżycia, lub niezgody narodów — zostały w „O. N. Z." uwzględnione.

Czy tak jest w istocie i czy oprócz wymienionych nie znajdzie się już żadna równorzędnie ważna kwestia, której pominięcie mogłoby uzależniać trwałość organizowanego przez „O. N. Z." pokoju?

Rozpatrując bliżej postawione zagadnienia, łatwo dostrzeżemy, że w liczbie przytoczonych przez nas komisyj — a więc niejako kolumn, mających podtrzymywać pokojowy gmach „O. N. Z." — brak jest, zdaniem naszym, właśnie najważniejszej, a mianowicie: — komisji współpracy międzynarodowej w dziele moralnego odrodzenia i wychowania powojennego człowieka. Jak bowiem wiadomo — żadna ze światowych konferencyj, ani zjazdów, odbytych dotychczas w ramach, lub w związku z zamierzeniami „O. N. Z." — na porządku dziennym obrad zagadnienia takiego nie stawiały i nie dyskutowały.

Dowodziłoby to, że w opinii przedstawicieli państw — członków tej Wysokiej nstytucji — problem powojennego wychowania człowieka nie przedstawia na tyle ważnego znaczenia, by mógł być podnoszony do poziomu zdań, ogólnie uznawanych dotąd przez narody — za najważniejsze.

Lecz jeżeli tak jest, to mimo woli stajemy wobec dręczącego pytania: czy możliwem jest realizowanie na długą metę pokojowego współżycia narodów, gdy kardynalny warunek, uzależniający w istocie powstawanie i rozwój przyjaznych stosunków między ludźmi, a co za tym idzie — i narodami — już w samych podstawach, podejmownych przez „O. N. Z." prac — zostanie poniechany?

Odpowiadając na to pytanie, skłonni jesteśmy twierdzić, że budowanie pokoju światowego bez postawienia na czele zagadnień pokojowych odrodzenia moralnego i etycznego wychowania człowieka w skli międzynarodowej — budzi poważne wątpliwości. Niemożliwym będzie bowiem osiągnięcie trwałej zgody między narodami, dopóki nie zaistnieje i nie umocni się zgodne współżycie między poszczególnymi ludźmi. Nie może być mowy o harmonii w skali światowej, póki nie zostanie zawiązana i utrwalona raz na zawsze braterska przyjaźń i współpraca między pojedyńczymi ludźmi. Przy braku tych podstawowych warunków najlepsze nawet poczynania organizatorów „O. N. Z.", zmierzające do zrealizowania postawionych przed tą instytucją wielkich celów — nie mogą liczyć na powodzenie. Osiągnięcie trwałego pokoju stanie się niemożliwem, zaś „O. N. Z." — wcześniej, czy później — będzie musiała podzielić los swej poprzedniczki — niesławnej pamięci — Ligi Narodów.

———

Stawiając wychowanie człowieka na czele zagadnień pokojowych „Organizacji Narodów Zjednoczonych" — przede wszystkim wychodzimy z założenia, że:

Dotychczasowe systemy wychowawcze, będąc w większości oparte na wyznawanym przez przodujące w kulturze narody materialistycznym światopoglądzie — rozwój moralny i etyczny jednostek ludzkich pozostawiały przeważnie wolnej grze destrukcyjnych sił, które — niehamowane niczym — znajdowały łatwy dostęp do człowieka, wypaczając w nim właściwy, ewolucyjno - twórczy stosunek człowieka do moralności i, miast do Ducha, jako źródła praw przyrodzonych (boskich) — zwracały go na drogę rozwoju i doskonalenia umysłowego. W ten sposób powstała przewaga wiedzy umysłowej nad duchową i odbywający się postęp rozwijany jest nie na drodze objawienia duchowego, ale drogą umysłowości, t. zn. na gruncie wiedzy analitycznej.

Przerost umysłu nad duchowością doprowadził człowiek, a w następstwie — także liczne narody — do powszechnego moralnego upadku. Zaprzestając rozwijania w sobie wiedzy duchowej — objawionej, czyli wiecznej — człowiek stał się niezdolny do naturalnego, celowego zużytkowania wiedzy umysłowej i, miast do celów ewolucyjno - twórczych — zwrócił ją przeciw samemu sobie, niszcząc nie tylko kulturalny dorobek tysięcy poprzedzających go pokoleń, ale i zagrażając w przyszłości biologiczną zagładą całej ludzkości.

Człowiek nie otrzymywał dotychczas praw moralnych od nauki, która, będąc nastawiona materialistycznie — nie mogła mu dać dowodów, ani też wskazać właciwego, ewolucyjno - twórczego stosunku do moralności. Religia zaś, nie mając naukowego poparcia — nie była dla niego wystarczająco przekonywującym autorytetem. W ten sposób człowiek skazany był na poszukiwanie praw stwórczych drogą własnych, indywidualnych dociekań — własnej, jednak na niepewności opartej myślotwórczej obserwacji, zachodzących przed jego oczami zdarzeń i zjawisk.

Dotychczasowe państwa nie dawały swoim obywatelom gwarancji poznania praw przyrodzonych (boskich), ale, opierając się o zmaterializowaną naukę — szukały wyjścia w tworzeniu przeróżnych ustaw i kodeksów, które, nie reprezentując w oczach obywatela związku władzy państwowej z prawami stwórczymi (względnie z Bogiem), stopniowo stawały się dlań martwą literą, której tenże obywatel zaczął nadużywać dla celów egoistycznych. Doprowadziło to do ogólnej demoralizacji społecznej, ponieważ, nie znajdując właściwego źródła poznania prawdy i nie będąc uwiadomionym o Jej istocie— zgodnie z prawem regresu (zamiast progresu) — obywatele rozwinęli w sobie niskie instynkty i w wyładowaniu ich dopatrują się prawa postępu. Zamiast kultu dobra, prawdy i piękna (harmonii) — zapanował na ziemi kult mordu i grabieży. Miast twórczych osiągów syntetycznej wiedzy i ogólnoludzkiej harmonii — panuje ciasnota umysłu, okrucieństwo zatwardziałych serc, obłuda, ośmieszanie i dewartościowanie wszelkiej duchowej twórczości, a ogłupianie rzekomym budowaniem, mechanizacja myślenia, mechanizacja religii, negowanie i ośmieszanie uczucia, niewiara, ciemnota i jad zwątpienia, sianie zawiści, nienawiści, fanatyzmu, rozłamów, zdrad i wszelkiej niezgody.

Takie, oto — za nielicznymi wyjątkami — moralne oblicze dzisiejszych narodów ziemi. Widoczne objawy tego spotykamy na każdym kroku: w polityce i ekonomii, w nauce i sztuce, w religii i życiu społecznym i t. d. Niskie współzawodnictwo, miast współpracy, wzajemna nieufność — zamiast wzajemnej szczerości, brnięcie w drobnych porachunkach— miast wytężonej i zgodnej twórczej pracy dla społecznego dobra — oto powszednie, jakże smutne zjawiska.

Z istniejącego od niespełna sześciu tysięcy lat i przyjętego za podstawę wykładanych zasad moralnych przez wszystkie religie świata Dekalogu Mojżesza — zaledwie dwa współczesne narody europejskie (Szwedzi i Szwajcarzy) przyswoiły sobie w szerszej mierze jedną jedyną zasadę: poszanowania cudzej własności; choć nie jest to jeszcze stopień doskonały. Poza tym, dzięki wysokiej religijności u narodów Wschodu — jedynie Hindusi wyznają i szanują oddawna drugą podstawową zasadę Dekalogu: „nie zabijaj", którą narody europejskie stosują, oczywiście, teoretycznie i to tylko w odniesieniu do człowieka.

Przestępstwa i zbrodnie, popełniane przez człowieka i narody, gwałcące moralne prawa Dekalogu — zostały już nawet niejako uobywatelnione wśród większości cywilizowanych narodów. Dowodzi tego tysiące tomów najrozmaitszych ustaw, kodeksów i różnego rodzaju mnożonych przez państwo przepisów karnych, świadczących o rozmiarach upadku człowieka i rozkwicie panującego na świecie zła. Idąc za doskonaleniem umysłu — narody oddaliły się od praw przyrodzonych (boskich) i — miast u źródeł Ducha szukać narzędzi dla wykorzenienia **przyczyny** złego — specjalizują się w tworzeniu wymyślnych przepisów karnych — jako ograniczeń zewnętrznych — pobudzając tym człowieka do jeszcze wymyślniejszych występków.

Umysł ludzki (a więc wiedza analityczna) — został zatruty kłamliwymi wyobrażeniami, a następnie już nastawiony w błędnym kierunku przez wypaczoną zatrutym intelektem Wolę. Między Bogiem, rządzącym Wszechświatem, a umysłem ludzkim wytworzyła się oddawna przepaść, którą usunąć może tylko zwrot całej ludzkości w kierunku poznania rzeczywistego, o prawo stworzenia opartego — twórczego celu.

Ostatnia wojna jeszcze bardziej rozwinęła, pogłębiła i zaostrzyła najniższe instynkty ludzkie. Do dziś zbrodnia z chęcią zysku bywa przerażająco częstym zjawiskiem, co dowodzi, że powojenny człowiek, miast się podnosić — coraz niżej grzęźnie w moralnym upadku i przy udziale takiego człowieka — bez próby uprzedniej moralnej jego przebudowy — nie może być mowy o zakładaniu wśród narodów fundamentów — na długą metę — pokojowego współżycia. I żadne, zdaniem naszym, najofiarniejsze nawet usiłowania, zmierzające do wykorzenienia z psychiki ludzkiej —— jedynie siłą i paragrafami ustaw karnych — zapadłej głęboko zaborczości, chciwości, kłamstwa, podstępu i innych niskich instynktów — nie odniosą skutku i nie doprowadzą do celu — bez względu na powagę i rozmiar władzy realizatorów takich zamierzeń — dopóki nie zostanie odpowiednio umoralniony człowiek.

Wówczas dopiero zniknie zagadnienie zaborczości i najazdów narodów silniejszych na słabsze, kiedy pojedyńczy obywatel każdego państwa, przez należyte, planowe wychowanie etyczne i moralne — zostanie wyzbyty żądzy posiadania cudzych dóbr gwoli zaspokojenia osobistego egoizmu; jeżeli poszanowanie cudzej własności stanie się dla niego nie literą pisanego prawa, ze wszystkimi jego karnymi paragrafami, ale **wewnętrznym** — na syntezie wiary i wiedzy opartym — niewzruszonym nakazem.

Przystępując tedy do realizowania światowego programu pokojowego, uważamy, że „O. N. Z." tylko wówczas może liczyć na osiągnięcie postawionych sobie wielkich celów, jeżeli pracę swoją zacznie od istotnych podstaw pokoju, t. zn. — wychowania moralnego i etycznego człowieka.

Zgodnego współżycia i współpracy narodów nie zabezpieczy się na długo drogą utrzymywania armii międzynarodowej, uzbrojonej w najnowocześniejsze niszczycielskie machiny i bomby atomowe. Taki pokój będzie tylko nową formą rządów przemocy; dalszą niewolą człowieka i narodów; panowaniem siły nad prawem przyrodzonym — umysłu nad Duchem. Będzie dalszym ciągiem mechanicznego, zewnętrznego hamowania rozwijających się niskich instynktów i coraz większym oddalaniem od właściwej, duchowo - twórczej drogi. Rola wysokich

Katarzyna Woźniakowska

Najśw. Maria Panna Królowa korony polskiej

Człowiek o prostym sercu i jasnej myśli umiłował czystość. Wynika to z jego natury ciążącej ku pięknu, ku temu, co nieskażone brudem i nie wypaczone złem.

Dla katolika wzorem i symbolem czystości była i jest zawsze postać Matki Boskiej.

W Polsce, od wieków katolickiej, kwitła zawsze miłość ku Bogurodzicy. Wysławano Ją w pieśniach, opisywano wierszem i prozą. Z dziwną czułoscią i jakby opiekuńczą troskliwością mówią o Matce Boskiej dawni, twardzi ludzie w prostych sukmanach i ciężkich zbrojach. Wzruszają się na myśl o trudach i cierpieniach, które tak bohatersko znosiła Najświętsza Panna. Chcieliby Jej służyć, stanąć w Jej obronie i za Nią walczyć. Matka Boska jest od wieków dla każdego Polaka kimś najbliższym, prawdziwą Matką, którą wezwać można w każdej potrzebie, która pomocy nigdy nie odmówi.

Maria uznana została w XVII w. przez cały nasz naród za Królowę Korony Polskiej. Chcemy, by była naszą Panią i Opiekunką. Matka Boska nie zapomina o nas i tak jak opiekowała się nami przez tyle lat, strzegąc nas z Jasnej Góry i Ostrej Bramy, tak i teraz wiele łask zsyła na Polskę. Jak po szwedzkim „potopie" wszystkie oczy były ku Niej zwrócone, tak i po potopie tej wojny, pragniemy znowu oddać się Jej w szczególną opiekę.

Jednak czy my, z naszej strony, odpowiadamy warunkom, które obowiązują

Warunkiem podstawowym i koniecznym do tego, by mieć prawo nazywać Marię naszą Królową, jest czystość.

Czystość nie jest prywatną sprawą sumienia poszczególnych jednostek. To sprawa wielka i ważna, na której wznosi się siła całego społeczeństwa. Sięgając do historii zauważyć możemy, że wszelkie upadki indywidualne i narodowe zaczynały się od upadku czystości.

Czystość, to nie purytanizm i fałszywa wstydliwość, to prawda, w swojej pierwszej, naturalnej i niewypaczonej postaci. Obowiązuje nas ona w myślach, słowach i czynach, na wszystkich odcinkach i we wszystkich dziedzinach życia. W życiu każdej jednostki, w rodzinie, w społeczeństwie musimy oczyszczać naszą działalność polityczną i stosunki socjalne, oczyszczać prasę, naukę, pracę zawodową.

Stoi przed nami wielki trud: Pomóc drugim, by poznali piękno czystości i jej konieczność do osiągnięcia wielkich celów. Ona jedna bowiem spaja i łączy, wszystko, co jest jej przeciwne, rozkłada i dzieli.

My katolicy, rozumiemy znaczenie czystości. Rozumiemy, ale czasem zbyt teoretycznie. Zacznijmy więc od siebie, od wprowadzenia jej w nasze życie. Pomoże nam w tym Królowa Korony Polskiej. W dniu Jej święta liturgia Kościoła zaznacza Jej gotowość przybycia, gdy Ją wzywamy:

„Oto Maria była nadzieją naszą, do której uciekaliśmy się w potrzebie, aby uwolniła nas i pośpieszyła nam z pomocą".

osobistości — reprezentantów państw w instytucji „O. N. Z." — sprowadzi się do pisania takich samych ustaw i kodeksów, a tylko w skali światowej, jakie pisali i wprowadzali dotychczasowi ministrowie poszczególnych państw dla swoich współobywateli.

Dlatego sądzimy, że pokojowa polityka „O. N. Z." powinna być skierowana na takie tory, by w sharmonizowaniu wszystkich, uznanych za główne, zagadnień na drodze do realizacji przyjaznej współpracy i współżycia narodów ziemi — zostały już na wstępie podejmowanych zadań — wypracowany i zastosowany także odpowiedni, międzynarodowy system wychowawczy, któryby sprzyjał poznaniu i wcielaniu w życie przez człowieka i narody praw stworzenia. Albowiem taki jedynie ustrój powojennego świata może trwać wieki i prowadzić ludzkość na coraz wyższe szczeble ewolucji, który będzie wcielał w życie najwyższe ideały — znane od zamierzchłych czasów, a nigdy w pełni nie realizowane, jak: wolność jednostki i ogółu, człowieka i ludzi narodu i narodów, państwa i państw, oraz sprawiedliwość — jednaką dla wszystkich.

W czasach dokonywującej się obecnie przebudowy świata, szczególnie potrzebna jest mądra synteza wszystkiego, przerobionego przez rozum, a więc — synteza Serca; i na niej w decydującej mierze powinny się opierać prawa, przy pomocy których „O. N. Z." ma sprawować swoje pokojowe rządy nad światem. Współpracę narodów należy skierować dla powszechnego dobra, gdyż tylko taki kierunek z punktu widzenia praw stwórczych — jest właściwy i prowadzi do zakreślonego ludzkości przez te prawa wyższego celu. Dlatego wychowanie powojennego człowieka winno się opierać o prawa stworzenia i ustalać jednolite dla wszystkich narodów zasady życia, mogące podnosić jednostkę ludzką na coraz wyższy szczebel kultury, wynikającej z celowego i harmonijnego rozwoju zarówno Ducha, jak i umysłu.

Lecz dla ułatwienia tej drogi, „O.N.Z." winna dążyć do układania takiego współżycia narodów, które by się opierało na zasadach społecznej przyjaźni człowieka do człowieka i narodu do narodu. W podstawy rozwoju stosunków międzyludzkich należy wszczepić ideę powszechnego braterstwa, wskazując prawdziwy — nie na prawach ziemskich, doczesno-materialistycznych opierany, a wiecznotrwały — duchowy cel. Tylko na tym gruncie, t. j. na gruncie nieomylnych praw Boskich — może być przez „O. N. Z." urzeczywistniony na ziemi powszechny i trwały pokój.

Błażej Włodarz

Zasługi wydawnicze Instytutu Zachodniego

PRZEZWYCIĘŻANIE NIEMCZYZNY

Militarne zwycięstwo odniesione nad Niemcami — nie jest jeszcze wszystkim, szczególnie wobec narodu, który dzięki swej pracowitości i organizacyjnym umiejętnościom (zarówno w dziedzinie wojennej, przemysłowej, administracyjnej, jak artystycznej i naukowej) potrafił stworzyć potężny aparat kulturowy. Nim to — bardziej dokładnie niż ludy Europy miecz niemiecki — nauka niemiecka potrafiła opanować europejską kulturę. Mimo jednak atrakcyjnych pozorów — ocena rzetelności i naukowej sumienności tego niemieckiego aparatu przy bliższej analizie wypada całkowicie negatywnie. I jeżeli nauka niemiecka potrafiła uczynić siebie tak niezbędną dla kulturalnego europejczyka, to nie tylko przez umiejętnie stosowaną sztukę edytorską atlasów, encyklopedii i słowników, ale głównie przez polityczną pozycję państwa niemieckiego. W gruncie rzeczy zapoznawanie osiągnięć polskiej nauki i sztuki na arenie europejskiej — ma tą samą przyczynę: stan polityczny państwa.

Z chwilą gdy książka niemiecka tak bardzo opanowała półki europejskich seminariów uniwersyteckich, a nauka niemiecka tak gruntownie przeniknęła w umysły — nie łatwo będzie ją wyrugować ze zdobytych pozycji. W imię jednak prawdy naukowej — przed walką tego rodzaju cofnąć się nie wolno.

Definitywne przezwyciężenie niemieckości najłatwiej przyjdzie na terenie nauk ścisłych: — rozwój medycyny, chemii, biologii, fizyki we wszelkich jej odmianach u narodów anglosaskich (szczególnie w Stanach Zjednoczonych) nie pozostawia żadnych wątpliwości, że już w najbliższym czasie językiem nieodzownym dla studenta politechniki nie będzie, jak dotąd niemiecki — lecz angielski.

Trudniejsza sprawa będzie z dyscyplinami humanistycznymi, a najtrudniejsza na gruncie filozofii. Tym bardziej, iż jeden z systemów niemieckiej filozofii, a mianowicie marksizm, który — jak to słusznie i trafnie uwypukla Suchodolski*) — ma wszelkie znamiona dodatnie i ujemne właściwe innym systemom filozoficznym niemieckim, jest tym systemem filozoficznym, który po zakończonej wojnie w całej Europie przeszedł do zdecydowanej i z talentem prowadzonej ofenzywy.

Mała broszura profesora Bogdana Suchodolskiego jest rozprawką, której potrzebę uświadamialiśmy sobie już dawno, gdy zbliska przypatrzywszy się hitleryzmowi, dojrzeliśmy w nim tak wiele wspólnego z prawie każdą znaną nam niemiecką myślą filozoficzną. Broszura Suchodolskiego — to pierwsza może u nas próba właściwego bilansu niemieckiej filozofii, w całej gamie jej różnorakich systemów, tworzących mimo tych różnic, melodię zupełnie jednolitą, przy dźwiękach której naród niemiecki tak ukształtował swą duszę zbiorową, iż w pewnej chwili dziejowej stał się on zdolny wyłonić z siebie hitleryzm — będący nie tylko formą polityczną, lecz jeszcze jedną mutacją niemieckiej filozofii**)

Broszura Suchodolskiego nie tylko rejestruje wszelkie „grzechy" niemieckiej filozofii, z których wynika jasno, iż jej symboliczna kukła winna być uczepiona nad norymberską ławą oskarżonych, ale też rozpatruje najważniejsze przyczyny, które sprawiły, iż ta filozofia jeszcze po dziś dzień jest tak wysoko i tak opacznie ceniona przez resztę Europy. Według Suchodolskiego rolę odgrywa tu zakłamanie i nieszczerość ją cechujące. My dodać możemy, iż jak dalece Europa mogła być jeszcze do niedawna dezorientowana w swoich sądach przez samych Niemców, może świadczyć podany przez Suchodolskiego przykład Tomasza Manna, który dziś przejrzawszy wprawdzie nie wraca z Nowego Yorku do Berlina, ale który jeszcze w roku 1920 w swej książce „Betrachtungen eines Unpolitischen" stwierdzał, że naród niemiecki jest „najmniej władczym, najmniej ciasnym i twardym, najmniej egoistycznym i nacjonalistycznym narodem", że mając „w sobie coś zasadniczo jakościowo innego, lepszego, czystszego, zdrowszego i wyższego niż angielski i francuski" musiał od wieków protestować przeciw barbarzyństwu i upadkowi kultury. Jak pisze dalej Suchodolski: „W świetle tej duchowej kulturalnej wyższości Niemiec wydają się Mannowi usprawiedliwione wszystkie czyny polityczne niemieckie".

Szereg podobnie rewelacyjnych, dla przeciętnego czytelnika, stwierdzeń i wniosków zawiera broszura Suchodolskiego. Jest ona jeszcze jednym z kroków na niełatwej drodze przezwyciężania niemczyzny i dlatego jest nieodzowna w każdej podręcznej polskiej biblioteczce.

Maria Budzanowska

*) Bogdan Suchodolski: „Dusza niemiecka w świetle filozofii", odbitka z Przeglądu Zachodniego nr. 2 — 3. Wydawnictwo Instytutu Zachodniego, Poznań, 1945, str. 39.

**) „Ulubioną myślą niemiecką jest, iż państwo determinuje autorytatywnie treść życia duchowego jednostki. Co poza te określenie wychodzi, jest subiektywną dowolnością, zasługującą na potępienie. Hegel przecież żądał cenzury i więzienia dla tych, którzy — jego zdaniem — nadużywali prawa rozumu głosząc hasła inne, niż te, które — jego zdaniem — były korzystne dla państwa" (cytata z broszury Suchodolskiego) — Na tym odcinku narody Europy na ogół jeszcze nie przezwyciężyły jadu niemieckiej myśli filozoficznej i politycznej.

KSIĄŻKA NASEJ NADZIEI

Po znakomitej pracy historycznej profesora Wojciechowskiego „Polska — Niemcy 10 wieków zmagań", Instytut Zachodni wydał nową rewelacyjną syntezę***).

Rewelacyjność pracy dr. Kaczmarczyka polega głównie na tym, iż jest to pierwsza w naszym piśmiennictwie historycznym próba zbilansowania całości zagadnienia osadnictwa niemieckiego na ziemiach pra- i obecnie — polskich. Do tej pory — mimo, iż od lat najmłodszych każde dziecko w szkole polskiej spotykało się z popularnym określeniem: osadnictwo na prawie magdeburskim (czy wręcz — niemieckim), mimo „Hakaty" i „Placówki", mimo całej opartej o problem niemieckiego osadnictwa pseudonauki niemieckiej o prawach historycznych i kulturalnych niemczyzny do ziem naszych — naszej literaturze historycznej, dysponującej wielu fragmentarycznymi opracowaniami czy przyczynkami — brak było należytej syntezy tego zagadnienia. Syntezy — pozwalającej na snucie dalszych rozważań i ułatwiającej operowanie rzeczowymi argumentami w dyskusjach z nauką i publicystyką niemiecką, które z tez głoszonych przez wieki nie zrezygnują, mimo klęski Trzeciej Rzeszy. Książka Kaczmarczyka obejmuje swym czasowym zakresem cały okres od prehistorii Polan i Słowian do Wielkiej Wojny, a zakresem geograficznym całą Rzeczypospolitą (wraz z Litwą). Naukowej rzetelności autora chlubne wystawia świadectwo, a do książki ufnie nastraja— drobiazgowa pedanteria, z jaką autor notuje nawet najdrobniejsze, paroosobowe skupiska ludności niemieckiej — nie zapominając jednak nigdy tych statystycznych rozważań zakończyć w odniesieniu do każdego okresu historycznego zwięzłym rozdziałem grupującym wnioski.

Praca Kaczmarczyka jasno i nic nie pozostawiając bez udokumentowania — przeprowadza trzy ważkie dowody:

Po pierwsze — o całkowitej błędności tezy celowo rozpowszechnianej przez naukę niemiecką, iż dopiero imigracja niemców na ziemie polskie wytworzyła zjawisko kolonizacji, co doprowadziło do gospodarczego ożywienia Polski. W rzeczywistości kolonizacja i miejska i wiejska oraz ich skutki gospodarcze były rodzimym, żywiołowym, opartym o prawo polskie zjawiskiem, rozpoczętym na długo przed początkiem wieku XIII, kiedy to dopiero pierwsi osadnicy niemieccy zjawili się na ziemiach naszych. Po drugie — o zupełnej bezpodstawności twierdzenia, łączącego zjawisko osadnictwa na prawie niemieckim z samym osadnictwem niemieckim, gdyż splatały się one ze sobą tylko w początkowej fazie. Później, wobec niechęci kolonistów niemieckich do osiedlania się na wschodzie — ludność wyłącznie polską z jej własnej inicjatywy osadzano na prawie niemieckim, lub najczęściej prawo to nadawano osadom już istniejącym.

Po trzecie — niemiecka kolonizacja na wschodzie, tak długo jak była tylko swobodną emigracją regulowaną tylko względami gospodarczymi i psychicznymi — to jest do wieku XVIII — była słabą liczebnie i politycznie. Łatwo ulegała wynarodowieniu. Dopiero polityczne i militarne opanowanie ziem polskich, a za nimi idąca przymusowa, planowa, subwencjonowana kolonizacja naszych ziem zachodnich — stworzyło warunki rzeczywistego powiększenia i okrzepnięcia niemieckiego elementu ludowego Mimo to i wtedy nawet kolonizacja niemiecka nie potrafiła zapuścić tam głębokich korzeni, czuła się źle i chętnie wracała do rdzennie niemieckich ziem (znane dobrze zjawisko odpływu ludności niemieckiej z Prus Wschodnich i w ogóle całego wschodu Rzeszy).

Książka Kaczmarczyka demaskuje powierzchowność i słabość niemieckiej kolonizacji w Polsce. Wnioski autora godzi się zestawić z notorycznie znanym — a na przykładzie niemieckiej emigracji w USA szczególnie drastycznie uwypuklającym się — zjawiskiem, iż Niemcy są narodem najłatwiej i najprędzej z pośród wszystkich innych ulegającym asymilacji, w normalnych — t. j. przeciętnie dostatnich i pozbawionych zbyt silnego powiązania z atrakcyjnie oddziaływującą (jak to było za czasów hitleryzmu) macierzą — warunkach. Ta psychiczna właściwość, lub może psychiczne kalectwo, narodu niemieckiego, którego bezpośrednio nie definiuje Kaczmarczyk, które jednak praca jego wyraźnie określa — powoduje, iż wolno nam mieć uzasadnione nadzieje, iż za pewien okres czasu przy rozsądnej polityce narodowościowej będziemy mogli odrobić skutki niemieckiej kolonizacji na wschód od Odry.

Stąd też, niech mi będzie wolno pożyteczną pracę Kaczmarczyka określić, jako książkę naszej nadziei.

Kazimierz Koźniewski

***) Zdzisław Kaczmarczyk dr.: „Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry", wydawnictwo Instytutu Zachodniego, Poznań, 1945, str. 267 + mapa.

Marek Antoni Wasilewski

Żołnierzowi

Rytm twardy — podkute buty —
Wczoraj „Breslau", dziś — polski Wrocław!
W bruk wali but podkuty...
Mocno, bracie! Mocno nogę postaw!
Ich buty w różne biły miasta:
Brukselę, Wilno, Beograd...
Dziś, pięść im nagą, polską pięść im nadstaw,

Dziś — ty historię popraw!
Za miasta rytm wybijaj,
Za nasze, w mieście — naszym.
Im dzisiaj — ziemia niczyja,
Im dziś Psie Pole i Raszyn!
Idź twardo, ukryj gorycz,
Patrz w orła białe skrzydła.
Rytm marszu zagłuszy pozory,
Przekona cię: **tyś wygrał!**

POCISK

Błądząc wspomnieniem po nieistniejących ulicach Warszawy łatwo zawędrować na Plac Małachowskiego przed gmach Zachęty, wspiąć się po schodach, wejść do hallu, którego półmrok jest rozjaśniony przez biel marmurów, odbijających rozproszone światło, padające gdzieś z góry i stąd skierować się ku salom ze zbiorami muzeum.

Skupienie i cisza.

Tu można stać długo przed każdym obrazem, by napatrzeć się nań dowoli. Szczególnie jeden z nich wabi uwagę ku sobie głębią myśli wcielonej w linię i plamę: kobieta w zielonej sukni lekkim ruchem dotyka palcem wskazującym czoła żołnierza. Tytuł obrazu i nazwisko malarza — w katalogu. Malarzem tym jest Bunsch, a tytuł zbyteczny, gdyż łatwo odgadnąć, że kobieta symbolizuje kulę. Całość utrzymana w jakimś zielonawym tonie, zimnym i twardym, aż przykrym. Ja no-zielona suknia kobiety ma odcień veronese, mundur żołnierza jest zgniło-zielony, twarze są ziemisto-blade, rzekłbyś „pozieleniałe". Powiewną lotność postaci kobiecej brutalnie przekreśla prosta linia: jej sztywno wyciągnięte ramię, którego przedłużeniem jest palec wskazujący. Pod tym dotknięciem ciało żołnierza straciło harmonię linii i załamało się w zygzak. Trafiony. Prąd nerwów, unoszący rozkaz mózgu sparaliżowany, w napięciach mięśni anarchia, w pozycji stawów dezorganizacja. Jeszcze ułamek sekundy, a ostatnie konwulsyjne skurcze rozluźnią się i niezwyciężona siła ciążenia powali mikrokosmos tego ciała, w którym storpedowanie przez pocisk sprowadziło kosmiczną katastrofę.

Śmiercionośna kula wskazała swego wybrańca.

Mówiła gestem:

— Ty!

We wspomnieniu obraz-symbol stopniowo traci swą wyrazistość, nabierając cech coraz bardziej abstrakcyjnych, ale przez to tym silniej krzyczy kontrastem: z jednej strony zdecydowania, nieodwołalnej konieczności, woli nieomylnie i bezwzględnie dążącej do celu, a z drugiej — zniszczonego, zdruzgotanego, zmiażdżonego oporu. Siła unicestwiająca opór. Siła... i opór... Mimowoli nasuwa się porównanie z problemem, nad którym w najtajniejszych skrytkach sumienia zastanawia się każdy, kto z całego życia swego postanawia uczynić podpis pod deklaracją, którą najczęściej ułożyli za niego inni, a którą mimo to podpisze, ponieważ... jak tamten żołnierz— czuje, że jest trafiony pociskiem. Oto ku niemu właśnie w locie szybkim jak myśl zmierzał pocisk, by nie chybiwszy celu zadając cios, wyrazić wybranemu swój triumf:

— Ty!

Ugodzony padając ostatkiem świadomości pomyśli:

— Jestem ranny. Ranny... Łaską!...

Przetaczają się dziesiątki wieków, a modlitewne słowa psalmu pokutnego Króla Dawida napełniają się wiecznie żywą treścią

...Strzały Twoje utkwiły we mnie...

Włodzimierz Pietrzak

I W A S Z

W powieści naturalistycznej opis zajął miejsce klasycystycznej konstrukcji i romantycznego natchnienia. Opisowość nowoczesna jako wyraz reakcji przeciw emfatycznemu krasomówstwu i bizantynizmowi tradycji, jest wysiłkiem prostoty i anonimowości. Zgodnie z ideą pisarstwa Goncourt'ów autor stara się oddalić od tekstu, być poza tekstem. Nakłada na siebie klauzulę zwięzłości, posługuje się skrótem, aby usunąć nieistotny dla powieści balast ornamentacyjny; ornamentacja jest zawsze, ostatecznie, osobistym wkładem pisarza i nie wynika z dzieła, choć może być z nim połączona. Może się z dziełem łączyć przez mitologizację stylową, przez oddziałanie już w zewnętrznej warstwie stylu, przez stworzenie stylistyczne sugestii. Mitologizacja stylu zachodzi po przez zmianę znaczeń, przez wprowadzenie baroku. Barok nie tylko tworzy ścianę w sensie murarskim, jest jednocześnie wysiłkiem malarza, nadrabia treść, stanowi zarazem założenie mitu.

Można by powiedzieć, że barok służy zamiast odwagi. Tam, gdzie pisarz nie ma odwagi, gdzie czuje siłę, ale nie czuje się na siłach, aby mówić wprost i nazywać, i tam, gdzie ogarnia go przerażenie wobec osobliwości widzenia, gdzie nie jest pewny, czy nie podlega halucynacji, występuje barok i tym samym narzuca halucynację.

Między tymi dwoma ostatecznościami stylu, stylem, który służy tylko do wypowiadania i stylem, który jest, aby wyrażać, powstaje zagadnienie artystycznej szczerości. Instynkt krytyki, kształconej na smaku naturalistów, traktuje szukanie wyrazu jako chęć wydawania się, jako chęć nasycenia artystycznego obrazu sobą, swoim subiektywizmem, swoim egotyzmem. Styl, który wypowiada, który zachowuje prostą zależność między pisarzem a słowem, między słowem a przedmiotem, jest otworzeniem wszystkich upustów, pozwala na dotknięcie pisarza i świata takiego, jaki był prawdziwy. W stylu, który wyraża, który szuka nie bezpośredniej nazwy, lecz jakiejś alegorii, istnieje, według niektórych podejrzeń, nieszczerość. Styl ten oddaje świat przemieniony, świat o przemienionych znaczeniach i zakrywa jego kształt prawdziwy, nie pozwala się domylić.

„Zaczem znów mgła zapada — pisał Flaubert w „Correspondances" — i dalej idzie się poomacku, poomacku, łamiąc paznokcie o skały i płacząc z samotności. To nic! Umrzyjmy w śniegu, w białej boleści naszego pragnienia, wśród szumu strumieni ducha, z twarzą zwróconą ku słońcu".

Zagadnienie nieszczerości w sztuce nie jest jednak tak proste, gdy pominąć naiwne formy pozy, zawsze łatwe do odczytania. Przykład Baudelaire'a wskazuje, jak nieskończenie szczerym można być w nieszczerości, którą powoduje osobliwość widzenia. Istnieje bowiem możliwość osobliwości. Żywioł artystyczny i los bohatera wyrasta z pisarza, z jego osobowości, z jego pojęć o tragizmie życia — takie są założenia realizmu w powieści i zasady wypowiadania. To wszystko nie oznacza jeszcze pedanterii i może przybierać, nawet w realizmie, formy ekstatycznego widzenia.

Ale wyrastając z pisarza, los artystyczny zdaje się być przykuty, jak kwiat jest przez korzenie spojony z glebą, do tego podłoża, które nazwać trzeba by światem pisarza. I tu jest miejsce na osobliwość. Nie jest to jednak osobliwość w formie statycznej, w kącie widzenia. Istnieją zagadnienia, które są dostatecznie skomplikowane, aby mogły być wypowiedziane zupełnie prosto. Właśnie szczerość artystyczna będzie się domagać, aby sprawa została pokazana we wszystkich jej załomach, we wszystkich odnogach labiryntu. Niewątpliwie, umysłowość ludzka, postawiona wobec zespołu skomplikowanego, stara się go zorganizować i przedstawić jako coś uformowanego. Nie można dać syntezy czegoś, co jest powiązaniem sprzeczności, niejednorodności i komplikacji. Właśnie taka synteza byłaby nieprawdziwa i nieszczera. Tylko analiza, tylko przedstawienie komplikacji, które wydobywa prawdziwą głębię, jest drogą, która się narzuca i którą trzeba będzie obrać.

Z tego punktu widzenia spojrzeć należy na odrębny i własny styl Jarosława Iwaszkiewicza. Odrębny w tym sensie, że trudny do podrobienia, odcinający się od stylu współczesnych. Jest w nim przede wszystkim wysiłek wyrażenia, wysiłek, który był obcy Żeromskiemu i Kadenowi, Nałkowskiej i Dąbrowskiej. Własny, bo przyniesiony niewątpliwie z wyspy poetyckiej szukając odkrycia i ustawienia, odkrycia i zorganizowania tego świata artystycznego, który jest pasją autora „Młyna nad Utratą", styl ten w swoim ostatecznym kształcie nie zawiera śladu, ani trudu, ani tym mniej strudzenia. Jest lekki i łatwy, wolny od przymusu, atrakcyjny swobodą — jak w tym fragmencie z „Młyna nad Utratą", tak przypominającym wolność literacką Ramuza: „Nowy gołębiowego koloru nieoświetlony zwał widniał na horyzoncie; nad nim zaś podnosiły się kopulaste różowe Himalaje. Za każdym razem, gdy Julek podnosił na nie oczy, stawały się one coraz bardziej niebieskie, jak gdyby z niebieskiej ich szklanej powłoki uchodziło różowe, gęste wino. Wreszcie stały się one lodowcowo sine". Nie należałoby jednak sądzić, że tę łatwość piękna Iwaszkiewicz osiągnął od razu. Język „Panien z Wilka" jest oddzielony od dość nieznośnej maniery w „Hilarym synu buchaltera", czy od przesycenia barokowego, jakie widać jeszcze w powieści „Księżyc wschodzi" nietylko czasem, lecz i pracą pisarską. Jest w najlepszym tego słowa znaczeniu wypracowany, zdobyty, osiągnięty.

Prosperem poezji Iwaszkiewicza, prosperem jego prozy jest nastrój zwierzenia, nastrój szeptu. W języku Iwaszkiewicza nie ma krzyku, jest ton zmęczenia, które nie pozwala na gwałtowność słowa. Pierwsze utwory prozą — „Zenobia Palmira", „Hilary", „Księżyc wschodzi" — mogą być rozpatrywane jako próby języka czego wyrazem tak świadomym był tom „Pejzaży sentymentalnych". W dwu pierwszych jego powieściach jest barok, jest proza stylistyczna, która przywodzi na pamiąć najgorsze wzory stylu martwego, stylu, który pragnie być wirtuozerią i popisem, a przywodzi na myśl przemowę hiszpańską na posiedzeniu klubu, gdzie przewodniczył Senecal w „Education sentimentale". Nim wreszcie Iwaszkiewicz znajdzie swój język, będziemy mieli drażniącą konturowość i za dobrą, za usilną dokładność „Księżyca", gdzie od czasu do czasu odnajdzie się przejaskrawienie, nadmierna modulacja, jak w tym przykładzie: „Jerzy troszeczkę brząkał na fortepianie, schrypniętym nieco od wilgoci; rozsypane tony starego pożółkłego grata odpowiadały świetnie leciutkiemu pukaniu kropel w szyby".

Dopiero w późniejszym, jakby bardziej dojrzałym okresie twórczości, słowa będą się wzajemnie wiązać i modernizować. Język Iwaszkiewicza zdąża ku coraz większej prostocie, niekoniecznie jednak do bezpośredniości. Opowiada o czymś, co zostało dokonane i przesądzone, nie oddaje jednak przebiegu dokonania, każe go się domyślać. Jest jak przyroda, która zarosła miejsca, gdzie huczła walka. Jak ów ptak z „Księżyca", który po dniu pełnym lotu i trudów, wieczorem na gałęzi gotuje się do snu.

Żaden z pisarzy naszych, po Żeromskim i Weyssenhoffie, nie poświęcił przyrodzie tylu kart, co Iwaszkiewicz. Jego przyroda nie stanowi w stosunku do człowieka żywiołu odrębnego. Noc — to dzieje poezji, wyraził się autor „Księżyca". Przyroda jest u niego jak chór gregoriański, jest jak akompaniament, który staje się władczy wtedy, gdy na chwilę cichnie ludzka dusza. Wtedy w duszę wdziera się przyroda, przedłuża bieg przeżycia, rozszerza go na świat nieludzki. Nigdy nie jest to żywioł dla człowieka obcy, nieczuły. Widzenie natury u Iwaszkiewicza jest nie tylko muzyczne, ale i malarskie, oparte na kolorze, na różnicach światła. Od „Panien z Wilka" poczynając, polszczyzna Iwaszkiewicza jest wyjątkowo bogata: nasycona aromatem, jaki daje ziemia wiosenna, otwierająca swoje zagony i skiby, nasycona szumem i zapachem. Wysiłek osiągnięcia tej prostoty został ukryty i odnaleźć go można tylko przez porównanie etapów wcześniejszych i późniejszych twórczości.

Dla Żeromskiego równie jak dla Kadena istotną sprawą jest człowiek w działaniu. Obaj ci pisarze wypowiadają się przez człowieka działającego. Dla Nałkowskiej, jak dla Iwaszkiewicza, najważniejszą sprawą artystyczną jest wyrażenie tematu, jest ukazanie sprawy. Ale tu między Nałkowską a Iwaszkiewiczem zaczynają się istotne różnice. Nałkowska stara się — tak było u Goncourt'ów — czerpiąc z autentycznego materiału, zachować go możliwie wiernie w wersji artystycznej, organizując go jednak, grupując — dojść do niego raz jeszcze, wrócić po linie estetycznej do tego samego punktu wyjścia, umieszczonego jednak teraz wyżej na spirali. Dla Iwaszkiewicza materiał autentyczny jest ważny tylko jako punkt wyjścia, nie jako punkt dążenia. Jego punkt dążenia jest ściśle artystyczny, choć nie w znaczeniu Oscara Wilde'a, nie w znaczeniu ornamentacji; mimo to, jest ściśle samowystarczalny, nie zachodzi potrzeba porównywania go z rzeczywistością. Więcej nawet, to jest świat, który ma własne wymiary, który jest odrębny, choć nie zamknięty, choć niedokończony. Jego odrębnością jest nie niepokój, lecz ból. Ból, który ma źródło w samym istnieniu ludzkim, w czymś, co jest wcześniejsze od cywilizacji, od tego, co potocznie nazywamy światem człowieka. Wcześniejsze i szersze, bo to jest cierpienie zasadnicze. Węższe, bo obejmujące jednostkę ludzką w jej formie czystej, oddzielonej, głucho oddzielonej od innych istnień. Lecz właśnie dlatego, że chodzi tutaj o ból istnienia, artyzm Iwaszkiewicza nie zmieściłby się w ramach skończonych i zamkniętych. Istnienie bowiem stanowi pomost dla nieskończoności. W utworach Iwaszkiewicza, gdy się w nie zagłębić, mgła opada, idzie się coraz mniej poomacku, lecz nigdy nie ma tej bezwzględnej jasności, tego wykończenia kształtów i pełnego strumienia światła, jakie mamy u Żeromskiego. Pewna część tej krainy jest zawsze zanurzona w ciemności, niewydobyta z ciemności — jak dusza kuzyna Jerzego z „Księżyca", jak bliskie mu dusze bohaterów Dostojewskiego, które zawsze pozostają niedoświetlone, niedopowiedziane w przeciwieństwie do bohaterów Balzac'a. Bohaterowie „Komedii ludzkiej" prezentują się czytelnikowi w skończonej i niemal encyklopedycznej pełni. Wiedza o bohaterach Iwaszkiewicza, odnosi się wrażenie, nigdy nie może być zupełna. Nie dlatego, aby byli ukazani od jednej tylko strony, ale dlatego, że służą oni pisarzowi jako fragmenty tematu — podobnie jak żołnierze i mała dziewczynka w „Patrolu nocnym" Rembrandta są poto, aby wyrazić stosunek światła i mroku. „Wszystko na świecie — rozmyśla bohater powieści „Księżyc wschodzi", Antoni — zależy od oświetlenia... Co jest we mnie naprawdę Jakaż jest ta jedyna realność, czuwająca, czyhająca na światło Jaką lampą oświetlić mam swoje wnętrze, abym wreszcie ujrzał, co tam się naprawdę dzieje ". Iwaszkiewicz nie zamyka w swoich postaciach nic absolutnego; są to ludzie, którzy mają przeznaczenie, ale nie mają misji, nie mają zadania. Ich funkcją jest wyrazić stosunek zagadnień. Iwaszkiewicza interesuje życie nie w pędzie naprzód, lecz w chwili stasis, w chwili zatrzymania. „Budynki krzykliwe i wulgarne o południu — mówi o stodołach — stały się wieczorem sennymi korabiami, wypoczynek po pracy nadał tej ciszy znaczenie osobliwe". Czas u tego pisarza przedstawia się jak zatrzymujące się w biegu koło, a ten bieg wstrzymany wyrywa z piersi westchnienie.

U Żeromskiego żywioł dramatyczny narastał w czasie, w rozwoju wydarzeń i towarzyszył całemu żywotowi ludzkiemu: dramatyzm Judyma zaczyna się od jego wczesnej młodości. U Iwaszkiewicza żywioł dramatyczny krystalizuje się w małych wycinkach czasu, gęstnieje w nich dopiero wtedy, gdy stodoły stają się okrętami, idącymi ku nieskończoności. Dramatyzm jest w życiu ludzi Iwaszkiewicza nawiedzeniem, wszystko, co miało miejsce przed tą porą nawiedzenia, było tylko dojrzewaniem, przygotowaniem do napięcia. Ten moment nawiedzenia jest wyraźny już w „Księżycu", potem w „Dwu opowiadaniach", a szczególnie może w „Annie Grazzi" i w „Młynie nad Utratą"; występuje też w życiu Kanickiego. Na nawiedzeniu dramatycznym wsparta jest konstrukcja najlepszego utworu Iwaszkiewicza — „Bitwy pod Sedgmoor".

Formą literacką, w której Iwaszkiewicz celuje, jest krótka powieść, która formalnie przekracza zazwyczaj zarys noweli. Iwaszkiewicz użył sam w jednym z tytułów słowa opowiadanie, nazwy bez pretensji. Żywioł tych opowiadań jest jednak tragiczny i niewątpliwie byłoby możliwe pewne zbliżenie z żywiołem opowieści Conrada, jakiejś „Freyi z wysp", czy „Ukrytego sojusznika". Byłoby to jednak tylko zbliżenie, nie podobieństwo.

Opowiadania Iwaszkiewicza są zbudowane jak tragedie klasycystyczne z XVIII w. — z jednością akcji i miejsca, z jednością czasu. Jest w nich duch Boileau. Boileau jako rytuał jest tylko zbiorem przepisów. Jeżeli jednak traktować go inaczej, nie jako z b i ó r przepi-

KIEWICZ

sów, jecz jako samowiedzę artystyczną, ukazuje jak pisarze mogą osiągnąć panowanie nad własnym dziełem. Ta liturgia literatury pozwala zakryć mozół wysiłku, spruć jego ślady jak białą fastrygę, zostawić tylko kształt ostateczny. Brunetière miałby argument, że rodzaje literackie żyją jednak samoistnie, przetrwać potrafią czas i znów się odnawiać.

Postacie Iwaszkiewicza — zwłaszcza z wcześniejszych utworów — są rodzajem osobistej spowiedzi, ukrytej mniej lub więcej wyraźnie. Interesującym w pełni stają się jednak jego bohaterowie dopiero wtedy, gdy prócz pretekstu osobistego staną się pretekstem artystycznym — jak pryzmat, w którym załamuje się sprawa utworu, jako zagadnienie stosunku do czegoś. Wczesne utwory powieściowe, jak „Księżyc wschodzi“ i „Zmowa mężczyzn“, stanowią pod tym względem rodzaj zapowiedzi, rodzaj wstępu do twórczości pisarskiej Iwaszkiewicza i choć nie stanowią momentów artystycznie ostatecznych, doskonałych — ważne są jako rodzaj prospektu. Jedna z figur w „Księżycu“, kończący życie samobójstwem von Knabe, potomek Bazarowa z nieprawej linii, dręczy się tym, że nie może znaleźć zewnętrznego celu swego istnienia. Sens wewnętrzny istnienia jest w nim zatruty właśnie tą świadomością, że wszystko jest bez wartości, że nie istnieje porządek zewnętrzny. To zagadnienie powraca w „Zmowie mężczyzn“ w rozmowie księdza Kurka z Alinką, w jej wątpliwości, czy w życiu można w ogóle coś zrobić, czy można coś poradzić przeciw cierpieniu, przeciw bólowi istnienia. Ten motyw, który w głębszym obrazie powróci w „Młynie nad Utratą“, rozwija w „Zmowie mężczyzn“, już po wewnętrznym przesileniu duchowym, Władysław Sawicki, którego przeznaczeniem staje się spokój, usiłowanie zaśnięcia, przejście do porządku nad własną wolą. Na końcowych kartach „Zmowy mężczyzn“ Bogiem świata staje się spokój, ostatecznym wyrazem spokoju — śmierć. Religia objawiona jest w stosunku do tej herezji spokoju jedną z gałęzi owej obszernej zmowy, która oplątała świat niepokojem i odciąga ku wysiłkom daremnym i niepotrzebnym, zamiast pozwolić mu trwać w spokoju, osiągnąć spokój.

W „Pannach z Wilka“, w utworze, który rozpoczyna okres rozwoju Iwaszkiewicza jako wielkiego pisarza, mówi autor, że słowo niemoralny jest właściwie równoznaczne ze słowem obojętny, stojący na boku, niezainteresowany. Jest to wypowiedź kluczowa dla zrozumienia postawy autora „Młyna“. Iwaszkiewicz nie ma ambicji robienia portretu społecznego jak Balzac, a u nas — w odmiennym kącie patrzenia imperatywu społecznego — Żeromski. Wysiłek pisarski Iwaszkiewicza zmierza do stworzenia nastroju, do stworzenia wizji około tematu, wizji, która jednak w sposób konieczny zawiera pogląd na świat. Ten artyzm podparty jest nie tylko żywiołem muzycznym, ktoś ode mnie bardziej kompetentny wykaże kiedyś powiązanie muzyki i pisarstwa autora „Brzeziny“, powiązanie, którego wyrazem świadomym są niektóre fragmenty „Pejzaży sentymentalnych“. Istotą formy literackiej Iwaszkiewicza jest jednak teatr, który czytelnik ogląda, siedząc w swoim fotelu. Wiadomo zresztą, że teatr kusił Iwaszkiewicza — jak kiedyś de Vigny'ego — prawdziwą sceną. To przesycenie jego prozy innymi dziedzinami sztuki podkreśla, jak głęboko ta twórczość zanurzona jest w artystyczności, jak jest artystyczna przede wszystkim jak bardzo realizuje zasadę wolności literatury od społecznego imperatywu. W pewnej mierze tłumaczy również źródło kultu przyrody: dziecko cywilizacji, obce naturze — pisał Mann w „Czarodziejskiej górze“ — wrażliwsze jest na jej wielkość, niż nieokrzesany syn natury, żyjący z nią na stopie trzeźwej poufałości. I mimo to, że temat śmierci i temat nieudania tak często powraca w twórczości autora „Młyna nad Utratą“, Iwaszkiewicz nie jest ani moralistą, ani teologiem. Nikt w naszej literaturze nie jest również daleki od Stendhala i nikt z naszych pisarzy nie daje polskiemu czytelnikowi tak intensywnych przeżyć artystycznych jak Francuzom dawał Stendhal. Bo Iwaszkiewicz jest przede wszystkim artystą. Stendhal stał jednak u początków pewnej cywilizacji, był współczesny wielkiej rewolucji przemysłowej na zachodzie. Iwaszkiewicz jest u kresu rozwoju warstwy historycznej, do której duchowo należy i dlatego nie dowierza energii. Cykl o energii, zaczęty w Polsce przez Wokulskiego, kończy postać Zamoyłły.

Sztuka Iwaszkiewicza jest poezją śmierci i nieudania. To są dwa istotne momenty tragizmu jego opowiadań. Te tragedie rozgrywają się we wnętrzu człowieka, nieraz w elementach zupełnie ubogich, niejako sam na sam z grozą, bez świadków katastrofy — jak w „Brzezinie“, jak w historii Ignasi, rzuconej na duńskie wybrzeże. Motyw tragiczny przybiera charakter przypadku jak w „Annie Grazzi“, lub powiedzmy odważnie — przeznaczenia z greckiej tragedii, przeznaczenia wewnętrznego, zapisanego jednak nie poza człowiekiem, a w nim samym. Sam człowiek mota swój kłębek winy tragicznej aż do chwili, gdy ta nić się urywa. Ratunkiem przed cierpieniem w „Zmowie mężczyzn“ miało być osiągnięcie nieczułości, spokoju — jako rozwinięcie motywu o stodołach, w oświetleniu wieczornym z „Księżyca“ zatracających swój zwykły charakter i porywających się na uzyskanie innego charakteru, wykraczającego poza skończoność rzeczy, mającej ziemski tylko cel i użytek. Wyznanie z „Panien z Wilka“ przyniosło stwierdzenie, że obojętność wobec spraw istnienia jest nieludzka i niewłaściwa, że istnienie goni człowieka i zmusza go do dania odpowiedzi.

Winą tragiczną bohaterów Iwaszkiewicza jest niemożność opanowania życia, niemożność opanowania tych sił, które burzą istnienie. Jego bohaterowie mają pesymistyczną pewność, że żadna energia, żaden wysiłek nie zdoła od nich odwrócić nieuchronnego działania sił, na które nie mają wpływu, z którymi mogą się tylko szamotać jak Ignasia, natura pierwotna, próbująca jeszcze walki, jeszcze nie dotknięta świadomością inteligencji, któraby jej wytłumaczyła daremność tego wysiłku. Daremność wysiłku — to Wiktor Ruben z „Panien z Wilka“, ów Antoni z „Księżyca“ w dwadzieścia lat później, zdolny tylko do ewokacji piękna wśród ruin, przekonany, że ruin odbudować już nie można; nie pamięta już ani demonicznej postaci kuzyna Jerzego, ani trupa von Knabe'go. Odsunięty jest na tor boczny, bliższy teraz rządcy Kalinowskiemu czy pani Drzedrzewińskiej niż Antoniemu z okresu jego młodości. To jest zresztą też jedna z cech charakterystycznych postaci Iwaszkiewicza: czują się oni o wiele lepiej wśród ludzi prostych, niż w swoim wyrafinowanym intelektualnie i uczuciowo świecie społecznym. Hilary po wizytach w salonach odwiedza rodzinę stróża, ten sam stosunek jest w „Zmowie mężczyzn“; Jadwiga Łowiecka w „Młynie“ pociąga poetę Zdanowskiego swą prostotą, nawet Henryk Sandomierski woli towarzyszy ze swego orszaku od ludzi równych mu społecznie. Jeden jakby dowód więcej w literaturze, że raczej jest do pomyślenia społeczeństwo pozbawione artystów, niż społeczność ze samych artystów złożona. W świecie, zamieszkanym tylko przez artystów, zabrakło by miejsc w sanatoriach. Tam działała by w pełni zasada, że człowiek jest człowiekowi wilkiem. Kultura umysłowa nie stanowi o postępie moralnym sama przez się, jeżeli nie ma w niej miejsca na pogłębienie moralne, na świadomy wysiłek moralny.

Wysiłek moralny, nie moralizatorski bynajmniej, daje temat dwu najciekawszym opowiadaniom Iwaszkiewicza — „Młynowi nad Utratą“ i „Bitwie pod Sedgmoor“. Przechodząc do tych opowiadań, należy jeszcze jedną cechę twórczości Iwaszkiewicza mocno podkreślić: twórczość ta bierze się z inspiracji, Iwaszkiewicz przywraca w pisarstwie rolę natchnienia. Nie jest to natchnienie romantycznego patosu, podkreślanego przez poetów takich jak Byron i jak Mickiewicz. Jest ciche i dyskretne, nie przyznające się do siebie. Jego obecność wykrywa się dopiero przez analizę utworu. Iwaszkiewicz ma niewątpliwie do czynienia z autentycznymi wątkami, umie jednak uzyskać do nich daleki dystans, posługiwać się nimi, ale nie jest od nich bez reszty zależny. Ta cecha mieści się zresztą w metodzie szukania wyrazu, omówionej na wstępie. Jeżeli poza nią w czymkolwiek wykracza, to w szczegółach techniki pisarskiej, które nie są jednak tak zupełnie drugorzędne, aby je pominąć milczeniem. U Iwaszkiewicza nie spotyka się — może poza „Pasjami błędomierskimi“ — tej chęci powiedzenia wszystkiego naraz, tej zadyszanej gorączki, jaką płonął Żeromski, a która tak kłóci się z pojęciem literatury klasycznej, literatury, rządzonej umiarem. Nie ma też tego rysu, odmiennego w swej naturze, który cechował tak bardzo Micińskiego, z nowszych pisarzy Kadena i szczególnie tak zwaną twórczość kobiecą: przerabianie ostatnich materiałów doznania życiowego w echo literackie. Myśl jakaś, sytuacja, epigramat, charakter napotkany — od razu zostaje włączony do pisanej właśnie powieści; swoiste pakierstwo, niecierpliwość, dopasowująca tę krogulczą zdobycz byle jak do materiału literackiego, który był zaczęty pod inną może nawet koncepcją. Szymanowski pisze nową symfonię, już jest w „Księciu Fauście Micińskiego druga Symfonia Szymanowskiego. Iwaszkiewicz nie odczuwa tego pośpiechu, gromadzi swoje rzeczy powoli. To także jest miarą, coprawda nie talentu, lecz kultury literackiej.

„Młyn nad Utratą“ w tym nawiązuje do utworów wcześniejszych, że porusza sprawę zaradzenia cierpieniu ludzkiemu. Stanowisko religijne, które tu jest podkreślone, sprawia, że bohater „Młyna“, poeta Zdanowski, nie buntuje się przeciw istnieniu cierpienia: w jego oczach cierpienie jest czymś koniecznym, aby można było poznać i doznać istnienia; daje istnieniu wymiary i głębię, daje mu barwę i natężenie. Mocna wiara zdaje się ubezpieczać Zdanowskiego przeciw tej tajemniczej grozie nieudania, która w twórczości Iwaszkiewicza gra rolę tak zasadniczą, jak pierwiastek demoniczny u Dostojewskiego. Bez tej grozy nie było by u Iwaszkiewicza wiele więcej nad piękne zdania. A jednak, gdy z kolei Zdanowski staje przed swoim nawiedzeniem tragicznym, nie może mu się obronić i pada. Śmierć od zakażenia krwi jest przenośnią, jego klęska rozegrała się niesłychanie szybko — już przed tą śmiercią. Odwrócił się od Boga, poddał się bólowi istnienia i tutaj tkwi niemal napewno klucz psychologicznej zagadki, a nie w analizie miłości Łowieckiej i Zdanowskiego. Bezwątpienia, była to niedobra miłość, ale spustoszenie, jakie nastąpiło w Zdanowskim, jego wewnętrzna pustynia, w jakiej żyć nie można, bo nie można żyć z obojętnością, maskującą rozpacz, jest innego rodzaju, jest historią Samsona i Dalili. Problem ten wygląda, jak wiadomo, jako zagadnienie tajemniczej mocy, tkwiącej we włosach Samsona. Co więc mogło być tajemniczą siłą religijnego doznania Zdanowskiego, co zniszczyła w nim ta nieefektowna i prostacka Dalila z zapadłego młyna?

Religia zajmowała już w „Zmowie mężczyzn“ sporo miejsca i myślę, że istotnym wyrazicielem jej spraw była jednak nie Alinka Sawicka, a nawrócony ksiądz Kurek. Ksiądz Kurek przeżył po swym nawróceniu duchowe załamanie, gdy zrozumiał, że do seminarium duchownego zawiodło go nie prawdziwe powołanie, lecz omyłka wewnętrzna, omamienie w autoanalizie, niedokładność analizy. Religia — w pierwotnym odczuwaniu księdza Kurka i cały czas w odczuwaniu Zdanowskiego — jest przede wszystkim sprawą wewnętrzną, zagadnieniem wewnętrznego spokoju. Bóg jest dla nich obu nie gwarantem wewnętrznego ładu, lecz kimś pośrednim między sędzią a świadkiem. Dla Zdanowskiego nie istnieje obiektywny byt dogmatów, obiektywny byt Boga, lecz własny do Boga stosunek. Gwarancją jego religii jest nie ten łańcuch uznany, który strząsnąć z siebie pragnęli moderniści, lecz chciałoby się powiedzieć — naturalna potrzeba Boga, ta wiara w spokój, który jest uciszeniem i zaśnięciem, który jest przebaczeniem, sprawiającym, że pod ręką Boga wszystko się staje jasne, proste i zwyczajne. „Ale jeżeli nie ma Boga?“ — tym pytaniem kończy się „Zmowa mężczyzn“ — jak w zamyśleniu, do którego trzeba powrócić. Zdanowski wpada w grzech acedii, to znaczy w grzech zwątpienia, czy Bóg będzie w stanie aż tyle przebaczyć. Przyjmuje na siebie potępienie jako coś nieuchronnego. W tym przyjęciu potępienia zawarte jest nie tylko odrzucenie, lecz wręcz zaprzeczenie Boga. Nie wierząc w łaskę dla siebie, człowiek działa w ten sposób, jak gdyby się nie liczył z samym istnieniem Boga. Życie Zdanowskiego ukazuje, że niedostateczna jest sama wewnętrzna potrzeba Boga. Łaska nie jest stanem, który towarzyszy człowiekowi w sposób ciągły. Jedyną możliwością utrzymania siebie przy Bogu jest przyjęcie tego straszliwego, a tak prostego zakładu, o którym pisał w „Myślach“ Pascal. Innymi słowy, można być religijnym i wtedy, gdy nas nie skuwa łańcuch dogmatu, a tylko przez uczucie. Ale wierzącym można stać się w pełni dopiero przez owinięcie się łańcuchem, przez przyjęcie Boga na gwaranta wiary. To jest jedyny kamień w życiu wewnętrznym, który nie skruszeje.

Tak wyprowadzony sens „Młyna nad Utratą“ nie oznacza pesymizmu. Zdanowskiemu zakład, proponowany przez Pascala, się nie udał, to prawda. Lecz ten wypadek szczególny nie uprawnia jeszcze do określenia postawy Iwaszkiewicza jako postawy pesymizmu.

Pesymizm Iwaszkiewicza nabiera światła w świetnej opowieści o losach ks. Monmouth, o bitwie pod Sedgmoor, której tło historyczne znajdą ciekawsi czytelnicy w Macaulay'a „Historii Anglii“. Formalnie rzecz biorąc, nie Monmouth jest bohaterem utworu. Odczuwa się jednak, że los dramatyczny Anny, jej nieudania w wyprawie, jest tylko akompaniamentem, jest figurą biblijną klęski Monmouth'a. Fatalność księcia zaciążyła nad losem tej biednej dziewczyny przez uczucie, o którym Monmouth nie ma nawet pojęcia i z którego i Anna nie zdaje sobie sprawy. Zdrada tego uczucia w imię obowiązku nie przynosi nic dobrego dla Anny i jest bez znaczenia dla powodzenia sprawy prawowitego króla Jakuba II. W odpowiedzi na końcowe pytanie, dlaczego próba heroiczna Anny nie dała rezultatu, autor strzeże się odpowiedzi ostatecznej i pozostawia rzecz naszym domysłom, uważając słusznie, że ze swej strony dał już wszystko. Niewątpliwie, zaprzeczać, że na dnie postawy Iwaszkiewicza istnieje pesymizm, było by nonsensem. Należy jednak zdać sobie sprawę jakiej natury jest ten pesymizm, czego on dotyczy, jaką ma wartość. „Bitwa pod Sedgmoor“ nie daje podstawy do twierdzenia, że pesymizm Iwaszkiewicza jest zasadniczy, integralny — równie jak u Ibsena czy u Dostojewskiego. Jest stwierdzeniem faktu, że w historii człowiekowi nie wszystko się udawało. Nie udawało się niekiedy osiągnąć sukcesu takim awanturnikom historycznym, do jakich bezwątpienia zaliczyć można Monmoutha. Monmouth podniósł bunt przeciw królowi w warunkach pozornie dla siebie dogodnych, w nastroju zniechęcenia niemal wszystkich Anglików, nonkonformistów jak katolików i anglikanów, przeciw królowi. W trzy lata później ci sami ludzie wyniosą na tron Wilhelma III. Monmouth mógł liczyć na swą osobistą popularność wreszcie, dużo większą niż popularność Wilhelma, który był na wyspie jednak kimś obcym. Ale Monmouth nie potrafił dwu rzeczy: nie potrafił na gruncie niezadowolenia przeciwstawić idei prawowitego monarchy żadnych wartości ideowych pozytywnych, ograniczał się do pewnego rodzaju łowienia ryb w mętnej wodzie. Wreszcie wykazał niedołęstwo techniczne jako dowódca. Jego błędy stworzyły jego fatalność i zaprowadziły go pod topór. Oczywiście, mistycyzmem naiwnym byłoby przerzucać na Annę odpowiedzialność Monmouth'a. Jej ofiara, zresztą dobrowolna, idzie na marne — inaczej niż ofiara Judyty u Hebbla — i to jest fakt bezsporny. Człowiek nie może nic zrobić, aby pomóc innym, jak nie może przeciwstawić się skutecznie nawiedzeniu tragicznemu — oto sens krótkich Iwaszkiewiczowskich opowiadań.

(dokończenie nastąpi).

Czekam na wyjaśnienie

P. Paweł Jasienica, broniąc się w „Tygodniku Powszechnym“ przed atakiem „Kuźnicy“, używa dziwnego bardzo zwrotu. Odpowiadając mianowicie na powiedzenie, że: „wielu (pisarzy) jak Bolesław Piasecki i Paweł Jasienica, godzą to (pracę publicystyczną) bez większych trudności z poczuciem honoru“, pisze: „Oczywiście, że moją pracę publicystyczną uważam za całkowicie zgodną z moim poczuciem honoru. Gdybym sądził inaczej na pewno bym nie pisał. Co się zaś tyczy zestawienia z Bolesławem Piaseckim, to poza tym niespornym faktem, że żyjemy i piszemy w tych samych czasach, nic nas nie łączyło i nie łączy“.

Dodajmy: poza opublikowaniem także dwóch artykułów w naszym piśmie, a więc w piśmie, które powstało dzięki wysiłkom, trudom i staraniom Bolesława Piaseckiego i które go liczy do grona swych współpracowników. Ta uwaga zresztą tylko na marginesie. „Dziś i Jutro“ jest pismem zespołu, a nietylko Bolesława Piaseckiego i nie stanowi oręża jego „tajemniczej polityki“, o czym starają się przekonać jąkającym się szeptem różne osoby, ukuwając z tego, w braku czegoś lepszego, argument nieufności Mniejsza jednak o szepty. Obmowa za plecami, podobnie jak pieniężne świństwa mają zawsze ten sam ton.

Inaczej ma się z wypowiedzią pisemną. Wypowiedź p. Jasienicy można zrozumieć tylko w ten sposób, że na piedestale pisarza z honorem, czy może nawet w ogóle człowieka z honorem nie mogą stać obok siebie p. Jasienica i Bolesław Piasecki. A że p. Jasienica uważa swą działalność publicystyczną za całkowicie zgodną z poczuciem honoru ergo... Reszty może się czytelnik domyśleć.

Sprzeciwiam się takim domyślnikom! O ile przez długie lata mnie osobiście nic „poza faktem życia i pisania“ w tej samej epoce z Bolesławem Piaseckim nie łączyło, łączy mnie w tej chwili ta sama chęć znalezienia katolickiej postawy w nowej rzeczywistości polskiej. Może się to szukanie temu lub tamtemu nie podobać, może sobie ten i tamten wyobrażać, że wystarczy katolicyzm przypiąć jak breloczek do zegarka, lub przybić jak szyld nad jatką — i już więcej nie potrzeba, by świat płynął spokojnie dalej. Wbrew tej katolickiej szyldomanii upieramy się, że katolicyzm nie jest czymś łatwym i trzeba walczyć o jego oblicze na każdy dzień. I to mnie łączy z Piaseckim.

A kogo to łączy, tych nic nie powinno dzielić. Dlatego nie jest dla mnie rzeczą obojętną aforyzm p. Jasienicy. Proszę autora o wyjaśnienie, co on oznacza! Sądzę, że istnieją sposoby wyjaśnienia tej sprawy. I ja na to wyjaśnienie czekam. Nie sądzę bowiem, aby pisarz, który uważa swą pracę publicystyczną za zgodną z poczuciem honoru, uważał insynuacje niepoparte dowodami za publicystykę człowieka z honorem.

Jan Dobraczyński

Redakcja tyg. „Dziś i Jutro“ zawiadamia wszystkich pragnących pomóc młodzieży akademickiej, że przyjmuje wpłaty na rzecz Oddziału „Caritas“ przy Duszpasterstwie Akademickim, codziennie od godz. 9 do 18 w lokalu administracji pisma, Marszałkowska 81 m. 17, druga brama.

Antoni Marek Wasilewski

Euterpe Arnolda Böcklina

Ciszej! Niech przemkną białe obłoki
Poprzez błękitne tło nieba.
Rozbicie ciszy byłoby grzechem.
Nic więcej już tu nie trzeba.
Jest cicho. Nie słychać, jak szemrzą potoki.

Jak słońce muska upalnym promieniem
Zielonolistną głębię krzewów,
Samotna duma Euterpe. Wargi jej nie drżą
uśmiechem.
Przed chwilą zamilkł ostatni dźwięk śpiewu.
Słońce przywarło do ust pokrytych cieniem.

Nie zadrży listek. Dźwięk echem nie powraca.
Nie przerywajcie kontemplacji ducha,
Która zastygła w sukni jej fałdach
I w smukłym flecie opartym na kamieniu.
Promienie bezszelestnie wchłaniają cień. Już po
cieniu!

Trwożliwa sarenka nadstawia ucha,
Swe łzawe oczy ku twarzy muzy zwraca.
Naprożno! Euterpe tylko dla siebie istnieje,
Choć patrzy, nie widzi łąk i czerwonawej kory.
Nie czuje dotyku swych dłoni na kolanach,
Nie rażą jej oczu błyszczące kolory.
Całuje ją wietrzyk. Wstęga fletu wieje.

Szczypie trawę zniechęcona sarenka.
Muza oparła czarne włosy o skałę gór
O kim marzy? W kim zakochana?
Ustał wietrzyk. Niebo znów pełne błękitu
Jak wstęga fletu. Euterpe jest piękna.

1942 r.

OSTRZE NA OSTRZE

Jak nie należy wojować

„Odrodzenie“ pozazdrościło nam drukowanych wspomnień wojennych. pozazdrościło „prozy bohaterskiej“, jak nazwali utwory Dobraczyńskiego, Chram-Piórkowskiego, Ziembickiego czy Jar. Góreckiego. Redakcja tego pisma postanowiła olśnić czytelników swych nowym talentem literackim, wstrząsnąć realizmem namalowanego obrazu przeżyć wojennych.

Oto w numerze świątecznym wystąpił na łamach „Odrodzenia“ p. Konrad Rudnicki ze wspomnieniami z partyzantki w Kieleckim pod tytułem: „Okrążenie pod Kotfinem“. Czysta proza „bohaterska“, polecamy ją uwadze stałych i przygodnych czytelników tego pisma. By uniknąć jednak nadto silnego wstrząsu, spowodowanego realizmem tych wspomnień, pozwalamy sobie na krótki komentarz.

Rzecz dzieje się w kieleckim. Oddział partyzancki, prawdopodobnie AL, w każdym razie nie AK (autor oddziela się od niej „akowcy mówili nam“) liczy około 100 ludzi. Autor jest „kancelistą“, jego uzbrojenie stanowi maszyna do pisania i pożyczone bębny do rkm „Dichtiarewa“.

Od paru dni istnieje niebezpieczeństwo dużej obławy niemieckiej. Oddział przygotowuje się do akcji na obwarowaną wieś niemiecką. Nie mniej dowódca oddziału w krytycznym momencie jest tak pijany, że nawet nie zarządza pogotowia bojowego, choć od dłuższego czasu słychać nadciągającą obławę niemiecką. „...ale niezależnie od tego po drużynach wszyscy się pobudzili i czekali gotowi do odmarszu w las... zresztą wszyscy wiedzieli, że na naszego kapitana liczyć nie można... (!))“. Gdy wreszcie na skutek inicjatywy sąsiedniego oddziału desanciarzy sowieckich pijany dowódca zarządził wycofanie się na skraj lasu — kapitan Fiedorow z całym swoim oddziałem „czy to bojąc się odpowiedzialności (!), czy też będąc naprawdę przekonany o zdolnościach wojskowych (pijanego) Pawła — podporządkował się jego rozkazom“, zamiast sam objąć dowództwo nad całością! Genialny dowódca Paweł wskazał na kępkę krzaków pod samą wsią, gdzie kwaterowali, tam kazał szykować obronę, pokrzepiwszy podwładnych gromkim przemówieniem, zakończonym jak następuje: „Może nie jeden z was padnie ochfiarą (!) w dzisiejszej walce, ale się nie cofniemy. Kto będzie uciekał, tego sam rozłupię!“.

Trudno jest dalej streszczać szczegóły dwukolumnowej bohaterskiej opowieści p. Rudnickiego. To co zostało powiedziane, wystarcza chyba, by zainteresować każdego. Dodajmy tylko, że po otrzeźwieniu „Pawła“ oddział błąkał się po nocy pod liniami niemieckimi, bez ubezpieczenia wpadł w zasadzkę, dowódca się zgubił, następca jego Fiedorow kazał następny dzień przeczekać w zagajniku gdzie został zaskoczony przez Niemców gdyż: „...zgodnie z rozkazem Fiedorowa oddział był przygotowany **na przetrwanie w zamaskowaniu, a nie na obronę**. Wielu leżało tak, że wogóle nie mogło brać udziału w walce. Nie było wyznaczonych dowódców na poszczególnych odcinkach. Zresztą oddział składał się z resztek, które wyszły z wczorajszej zasadzki, a reorganizacja nie została przeprowadzona“.

Potym chaotyczne próby przebijania się raz na lewo, raz na prawo, raz do przodu, już bez żadnego dowództwa, czułe pożegnanie z łączniczką, nasz bohater nareszcie porzuca maszynę do pisania i z paroma żołnierzami sowieckimi wydostaje się z matni...

Żart na stronę. Rzecz oczywista w partyzantce bywało rozmaicie, nie ma co idealizować wojny. Bywali pijani dowódcy, bywał bałagan w walce, bywali, szczególnie w „kancelariach“ tumani, nie żołnierze. Jednak wydaje się, że pismo tego typu co „Odrodzenie“ winno dbać o to, by zamieszczać utwory na należytym poziomie literackim, oraz nie kompromitujące dobrego imienia żołnierza polskiego. Wiemy przecież, że AL ma w swej karcie bojowej mało tak kompromitujących pozycyj jak „kapitan Paweł“, kancelista Rudnicki, któremu „nie chce się“ biegać z bębnami za rkm, jak cała walka pod Kotfinem.

k

Po prostu obrzydliwość

Jeśli kto ma wątpliwości, coby się w Polsce stało, gdyby... rządzono metodami liberalnymi „zgniłej demokracji zachodniej“, gdyby nastąpiła zmiana rządów na skutek zwycięstwa w wyborach t. zw. opozycji, niech przeczyta w „Kuźnicy“ z dn. 29.IV opowiadanko p. t „Pucz“.

Oto treść tej budującej lektury: zwycięża Obóz Chrześcijańsko - Ludowy pod wodzą p. Markiewicza. Gazeta Ludowa triumfująco oznajmia, że obóz przez nią reprezentowany zdobył conajmniej 59% głosów. (Nie 75%!). Rzecz oczywista zwycięstwo to zostało poprzedzone wizytą w Polsce p. Buck Jones, który w imieniu International Wool Corporation wpłacił NSZ odpowiednią sumę pieniędzy na przeprowadzenie wyborów (instrukcja NSZ załączona).

Pod datą 20 października 1946 „Robotnik“ zawiadamia, że ani PPS ani inne partie z nią sprzymierzone nie będą mogły wziąć udziału w rządzie p. Markiewicza, wobec wzrostu wpływu czynników prawicowych na Obóz Chrześcijańsko - Ludowy. (Od redakcji ani słowa!).

Powstaje Odrodzone Stronnictwo Narodowe, które we wstępnej deklaracji wzywa rząd do walki z „lewicą“ i żąda „przywrócenia dawnego stanu sprawiedliwości społecznej“, zniesienia rad załogowych, reformy rolnej, upaństwowienia „kluczowych“ gałęzi przemysłu.

Głos Ludu z dn. 1 lutego 1947 r. (nakład drugi po konfiskacie) protestuje przeciw gwałtom, wybrykom antysemickim, głodowym płacom robotników łódzkich, skazanych na śmierć przez Syndykat Przemysu Włókienniczego (vide p. Buck Jones).

Wkrótce potem Obóz Narodowo-Radykalny pod wodzą gen. Andersa dokonywa puczu, żądając od porządnego, ale słabego i załamanego premiera Markiewicza, by ten dobrowolnie złożył władzę w jego ręce (początek marca 1947 r.).

Mr. Joe Barnum, Naczelny Dyrektor International Wool Corporation obejmuje wadzę w Polsce, zwraca fabryki kapitalistom, majątki obszarnikom, skazuje na śmierć głodową wszystkich robotników polskich.

Przejrzystość aluzyj politycznych czyni z powyższego paszkwilu obrzydliwą napaść,

Autor daje jako motto swojego „utworu“ następującą sentencję: „gdybym był pewien, że w kilkuset napisanych wierszach zawarte jest proroctwo, zacząłbym wątpić w rozum“.

Najwidoczniej jednak nie jest pewien, czy przypadkiem nie napisał proroctwa. Dobrze by było, gdyby już teraz zwątpił w rozum, w swój rozum.

Co gorsza, zaczynamy wątpić nie tylko w jego rozum, zaczynamy wątpić w poczucie odpowiedzialności tych, którzy decydują się drukować takie rzeczy.

(wk)

Niewygodna prawda

Pamiętam, jak silne wrażenie wywoływały przed wojną artykuły Walentego Majdańskiego drukowane w „Prosto z mostu“, jak wiele hałasu narobiła jego niewielka, ale z jakimże temperamentem napisana, bezkompromisowa i piękna swym ideałem etycznym książka p. t. „Giganci“. Majdański nie pisał układnie. Nie owijał rzeczy w bawełnę, ale nazywał je po imieniu. Rąbał prawdę jasno, otwarcie i brutalnie. Z dziką jakąś pasją wewnętrzną głosił to, co czuł i w co wierzył. I, jak zwykle w takich wypadkach bywa, zyskiwał przyjaciół ale równocześnie i wrogów. Jednych porywał, drugim zaś stawał ością w gardle. Jego publicystyka nie była wielokierunkowa, nie poruszał różnorodnych tematów. Ograniczała się do jednego: obrony instytucji rodziny, do walki o przyszłość biologiczną narodu. I w tym wyładowywał Majdański cały swój potężny temperament publicystyczny.

Mówiąc o Majdańskim i o tematyce przez niego poruszanej, nasuwa się mimowoli porównanie z innym jeszcze publicystą, który swego czasu zajmował się problemami etyki seksualnej, rozrodczości i t. p. Mamy tu na myśli znanego i wybitnego krytyka i tłumacza Boy'a-Żeleńskiego.

Boy i Majdański. Zdawaćby się mogło, że niesposób ich zestawić. A jednak to porównanie nasuwa się samo przez się. Właśnie przez kontrast. Boy, wyrafinowany intelektualista, przesiąkły buduarowo-salonową kulturą mieszczaństwa francuskiego, smakosz stylu, publicysta

Walenty Majdański

Rodzina wobec nadchodzącej epoki

Autor popularnego dzieła „Giganci“ w nowej swej pracy porusza najdonioślejsze zagadnienie naszej przyszłości narodowej — problem żyjącej zgodnie z naturą i obdarzonej licznym potomstwem rodziny. Rzecz ma znaczenie narodowe, nadaje się do odczytów i przemówień.

Nabyć można:

Księża Pallotyni, Suchary, p. Nakło nad Notecią.

PKO. Bydgoszcz VI--310.

Cena 60 zł., przy większej ilości (od 100 egz. 30 proc. rabatu).

giętki i zgrabny, ironista cięty i dowcipny. Majdański — „barbarzyńca". Wrosły z korzeniami w ziemię, z której pochodzi, jak jej lud prosty, twardy, nieugięty, zakrzepły w walce i pracy. Człowiek serca i żarliwej wiary. Nie filozof czy mędrek salonowy, nie stylista, ale rębacz prawdy. Chłop, co na swym zagonie chce wyplenić chwast. Trud i znój dla niego nie straszny. Czy się modli czy klnie, to zawsze z głębi serca. A młóci potężnie. Aby oddzielić ziarno od plew. I w pracy nic go nie zatrzyma.

Boy i Majdański. Pierwszy, w imię „wolności" jednostki, wygody i nowoczesnego hedonizmu, apostoł racjonalizacji dzietności, „świadomego macierzyństwa", swobody obyczajów i bezetyczności w życiu seksualnym drugi, w imię ideałów ponadjednostkowych — nadrzędnych, w imię heroicznej postawy życiowej, bojownik o nietykalność etyki chrześciańskiej, o rodzinę, o przyszłość biologiczną swego narodu.

Dziś, Boy należy do historii. Pozostała po nim pamięć jako o znakomitym publicyście-literacie, krytyku i tłumaczu. O jego zaś akcji „świadomo-macierzyńskiej" wspomina się żartobliwie. Natomiast Majdański — jest. A co najistotniejsze, że oręża nie złożył. Są wprawdzie tacy, co chcieliby w nim widzieć skromnego autora artykulików dla bractw kościelnych i dewotek, co starą perfidną metodą przemilczania chcieliby go usunąć w cień. Ale to im się udać nie może. Bo takich jak Majdański przemilczeć nie sposób, ani zagłuszyć. A że Majdański jest i milczeć nie ma zamiaru, to najlepszym tego dowodem jest to, że ukazała się właśnie nowa jego broszura p. t. „Rodzina wobec nadchodzącej epoki"*). Autor, z właściwym sobie temperamentem, choć może nie tak gwałtownie jak ongiś, rozwija myśl, że kryzys dzietności to kryzys kultury. Zastanawia się nad problemem racjonalizacji dzietności, jego niebezpieczeństwem, tragicznymi wreszcie następstwami swobody obyczajowej. Głosi konieczność heroicznej postawy życiowej, odrodzenia życia etycznego, obrony rodziny przed rozkładem i oparcie jej istnienia na życiu zgodnym z naturą. Główną nutą jego rozważań jest troska o przyszłość Polski, biologicznie wyniszczonej przez wojnę, której grozi wymarcie. „Kim nasycimy nasze granice, my, co leżymy w pierścieniu najludniejszych narodów Europy?" — pyta autor. I z bombą atomową można żyć. Ale jak żyć... bez ludzi?". Musimy pomnożyć naszą liczebność. Musimy odrodzić życie rodzinne. I dlatego rewolucjonistą i obywatelem jest obecnie ten, kto walczy o sprawiedliwość dla rodzin świadomie wiernych naturze i co sam prowadzi zdrowe życie małżeńskie. Pozostali „rewolucjoniści" i „obywatele", to anachronizmy wymierające: to żubry... rewolucji i demokracji. To pasożyty. Najczarniejsza reakcja".

Broszura Majdańskiego jest napisana popularnie. Autor obrazując cyframi wywody, nie miał ambicji napisania studium socjologicznego. Broszura przeznaczona jest nie dla intelektualistów, pięknoduchów, onanistów duchowych, ale dla zwykłych sobie ludzi. Bezpretensjonalna, prosta i szczera. Propagandowa? Owszem. Ale treścią tej propagandy jest prawda. Niewygodna, ale prawda.

A. Ol.

*) **Walenty Majdański:** Rodzina wobec nadchodzącej epoki. Wydawnictwo Księży Pallotynów. 1946. Str. 61.

Mieczysław Markowski

MELPOMENA NA ŚLĄSKU

Z ust dyrektora teatru bielsko - cieszyńskiego p. Kwaskowskiego, z okazji wielkopostnego rachunku sumienia z osiągnięć tego teatru, dokonanego na jednej z ostatnich „śród" Instytutu Śląskiego w Katowicach, padają ważkie słowa: „Robotnicy — to nasza najlepsza, najmilsza, najinteligentniej reagująca publiczność".

Opinię tę, nie będącą zresztą żadnym odkryciem, cytuję tu poto, by podkreślić rolę i znaczenie, jakie ma teatr na Śląsku.

Działalność placówek teatralnych na tym terenie winna być z tego względu pod specjalną kontrolą i opieką całego społeczeństwa.

Ciekawą i pouczającą jest wiele miejsca na łamach dzienników i czasopism zajmująca dyskusja na temat łódzkich spektakli „Elektry", ale chyba ważniejszym i istotniejszym jest problem teatru w Opolu, zwłaszcza w czasach, gdy tyle się mówi o repolonizacji Ziem Odzyskanych, o upowszechnieniu kultury. Niestety, chroniczna nieumiejętność ustalania hierarchii zagadnień, widoczna w wielu dziedzinach, spycha także pióra ludzi o teatrze piszących na ścieżki drobiazgów, szczególików, z pominięciem szerokich dróg, po których idą niedostrzeżone sprawy najważniejsze.

Problem teatru dla Ziem Odzyskanych, teatru, który musi ściągnąć na widownię publiczność o bardzo mozaikowej strukturze kulturowej, problem teatru, który ma wnieść promień godziwej rozrywki w życie ciężko pracujących górników i hutników winien znaleźć się dziś na znacznie godniejszym miejscu nie tylko w tekach Ministerstw Kultury i Sztuki i Ziem Odzyskanych, ale w zainteresowaniach całego społeczeństwa.

W chwili obecnej na Śląsku, a dokładniej, na terenie województwa Śląsko-Dąbrowskiego, czynne są cztery teatry zawodowe: w Katowicach, Sosnowcu, Bielsku — Cieszynie i Opolu.

Działalności tych placówek pragnę poświęcić niniejszą korespondencję.

BIELSKO — CIESZYN

W pięknie urządzonym, nowoczesnym gmachu teatru w Cieszynie (jedna scena obrotowa na Śląsku), obejmując po okupantach bogatą kostiumernię, rozpoczął swą pracę dyrektor pierwszego na tym terenie całego teatru polskiego — Kwaskowski. Myślą przewodnią powstania placówki było przejęcie w zasięg terenów zaolziańskich, których powrót do Macierzy tak wydawał się bliski.

Niestety, założenie ideowe musiało ulec odroczeniu. Wobec tego, iż kilkunastotysięczny Cieszyn nie potrafiłby utrzymać stałego teatru, dyrektor Kwaskowski przeniósł się wraz ze skromnym, bo 19 osób zaledwie liczącym zespołem do siedziby znacznie słabiej wyposażonej, ale dającej kilkudziesięciotysięczną liczbę mieszkańców pewną istotniejszą gwarancję egzystencji, do gmachu teatru w Bielsku.

Tutaj też rozpoczęły się próby pierwszych sztuk.

Trudności, rzecz jasna, olbrzymie.

Mały zespół aktorski, bez należytego zaaprowizowania, bez mieszkań, z trudem mógł podołać obowiązkom. Przecież dopiero w ostatnich dniach marca 1946 r. teatr uzyskał własny samochód. Dla zespołu, który grywać miał na zmianę w Bielsku i w Cieszynie, który miał dojeżdżać do Ustronia, Pszczyny, Dziedzic i Żywca (tylko w tych dwu ostatnich miejscowościach istotnie realizowano spektakle) nie było ułatwieniem zdawanie się na łaskę i niełaskę przypadkowo zdobywanych, często psujących się samochodów.

Mały skład zespołu nie zezwalał na realizację sztuk o większych obsadach. O powiększeniu zespołu nie było mowy, bo było zbyt już późno, a zresztą wolni nawet aktorzy niechętnie słuchali propozycji wyjazdu do teatru, który pierwsze dopiero stawiał kroki. Trzeba było grupką pionierów ugruntować trwałość placówki, by angażowanie się do Bielska przestało być krokiem ryzykownym.

Różnica poziomu kulturalnego widowni poszczególnych ośrodków pracy nie ułatwia. Strona dekoracyjna widowisk, jakkolwiek rozwiązywana z chętnie udzielaną pomocą miejscowych plastyków, nastręczała wiele kłopotów wobec braku fachowego scenografa. Dopiero od niedawna funkcję tę objął znany autor projektu t. zw. sceny narastającej, Feliks Krassowski.

Inną znowu trudnością była... konkurencja. Tak jest: konkurencyjny teatr amatorski Domu Kultury w Bielsku. Do dziś jeszcze sytuacja wygląda w ten sposób, że sceną bielską dzieli się teatr zawodowy z amatorami, grając na zmianę. Nie chodzi tu o konkurencję poziomu spektakli czy konkurencję kasową, tylko o zaprzepaszczenie dorobku. Publiczność jest zdezorientowana, bo ciągnie się ją do teatru z prawdziwego zdarzenia poto, by za tydzień pokazać „Ciotkę Karolę" sklecona siłami wątpliwej wartości.

Ambicje teatru amatorskiego (chodzi tu zresztą o prostą sprawę utrzymania całego Domu Kultury) są może szlachetne, ale, niestety, idące w złym kierunku.

Wolą i wysiłkiem całego zespołu, praca dała duże rezultaty. Teatr Bielsko-Cieszyński ustalił swą pozycję i dziś już nie potrzebuje się martwić o ilościowy skład zespołu. Teraz chętnie się znajdą.

12 premier od października 1945 r. do połowy kwietnia b. r., wzrost frekwencji z 43 proc. w okresie wstępnym do 59 proc. w dniu dzisiejszym — to dorobek, o którym dyr. Kwaskowski może mówić z dumą.

Repertuar teatru *) bardzo różny, pozornie klecony od przypadku do przypadku, nasuwający różnego typu zastrzeżenia ma swe uzasadnienie nietylko w różnych trudnościach, ale i w chęci wybadania drogą najróżniejszych eksperymentów, gustów i zamiłowań publiczności tak tutaj niejednolitej.

Na „Maturze" dwie zbyt zapalczywe panie na widowni pobiły się w dyskusji nad wartością sztuki, na „Obcym wstęp wzbroniony" znany nam tak dobrze kolportaż tajnej gazetki nie zrobił żadnego wrażenia, a pojawiający się na scenie przedstawiciel Herrenvolku budził zainteresowanie w sensie sprawdzania prawidłowości w szczegółach munduru. Według opinii dyr. Kwaskowskiego, na sztuki związane treściowo z okresem okupacji jest tu jeszcze dużo zawcześnie.

Teatr Bielsko - Cieszyński, jeśli o przyszłość chodzi, ma bardzo ambitne plany. Sądząc z dotychczasowego dorobku, plany te będą zrealizowane.

*) Dotychczasowy repertuar teatru Bielsko-Cieszyńskiego przedstawia się jak następuje. 1. Fredro — „Pan Jowialski" (grane 23 razy). 2. Bałucki — „Klub Kawalerów" (grane 20 razy). 3. Fodor— „Matura". 4. Buczyńska—„Obcym wstęp wzbroniony". 5. Niewiarowicz — „Dlaczego zaraz tragedia". 6. „Rewia Sylwestrowa". 7. Conners — „Roxy". 8. Hemar —„Muzyka na ulicy". 9. Shelden — „Romans". 10. Zapolska — „Panna Maliczewska". 11. Ridley — „Pociąg Widmo". 12. Rostand — „Romantyczni".

OPOLE

Najmłodszy z omawianych, Śląski Teatr Powszechny Ziemi Opolskiej z siedzibą w Opolu, pracę swą podjął w niesłychanie trudnych warunkach.

Dyr. Stanisław Staśko objął mały, bo zaledwie 570 miejsc na widowni liczący, cudem w nawpółspalonym mieście ocalały teatr w stanie kompletnego wyniszczenia wewnętrznego. Mimo to, przy kotarach z unrrowskich koców, w ciężkiej jak wszędzie na Śląsku sytuacji mieszkaniowej aktorów (niemal wszyscy mieszkają jako sublokatorzy, a dyrektor teatru w swojej skromnej kancelarii) wystawiono tu na przestrzeni od 27.X u. r. do połowy kwietnia b. r. 20 sztuk dla dorosłych i 3 dla dzieci.

16 kwietnia zespół obchodził skromny jubileusz 250-tego spektaklu. Jest to cyfra wystarczająco wymowna. Żeby do niej dojść trzeba było dawać około 42 przedstawień miesięcznie. Nie wiem, czy dokonał tego jakikolwiek inny teatr w Polsce.

Najbardziej charakterystyczną i bezsprzecznie najwartościowszą cechą teatru jest dobrze podjęta jego powszechność. Zespół opolski obsługuje ponad 20 miejscowości na spragnionej polskiego słowa Opolszczyźnie. Wlicza się w to miasta, jak Strzelce, Tarnowskie Góry (zagląda tu i teatr katowicki), Koźle, Niemodlin, Kluczborek, ale to nie jest wszystko. Czy znacie takie miejscowości w Polsce jak Komprachcice, Pruszków (Opolski), Ozimek, Chrapkowice, Wojtowa Wieś (słynna Wojtowa Wieś), Nowa Wieś Opolska, Dobrzyń?

Sądzę, że nie znacie! Otóż są to, jak z dumą stwierdza dyr. Staśko, „jedyne w Polsce wsie, do których stale, regularnie dociera zawodowy teatr polski".

A wiecie, jak mieszkańcy tych wsi, zwłaszcza ci, którzy przetrwali tu w polskości, ci, którzy z tradycji pokoleń czerpali siły, by nie zachwiała się w nich wiara, że przyjdzie czas kiedy będzie tu Polska, jak oni na teatr czekają?

Ten właśnie widz przychodzi na spektakl i mniej więcej do połowy jego trwania nie wiele rozumie ze słów aktorów. Musi się otrzaskać z literacką polszczyzną.

Sprawy, o których staram się pogodnie pisać, unikając celowo wielkich słów, godne są, by nie przestać myśleć o nich równocześnie z zakończeniem lektury tego artykułu.

Zespół dyr. Staśko składa się z 20-tu osób, rekrutujących się przeważnie z Warszawy.

Na liście aktorów znajdziemy napewno znajomych. Oto fragmenty tej listy: Carnero, Bolska, Nowiczówna, Jerzmanowska, Kordewicz, Bakka, Bocheńska, Ursynówna, Wścibor, Zdanowicz, Posiadłowski, Orłowski, Radwan, Lasoń, Szmar, Herba. Zespół oczywiście za mały. Dyr. Staśko radzi sobie w prosty sposób. Przy teatrze istnieje studio, którego adepci niejednokrotnie ratują teatr w ciężkiej sytuacji. Skromny zespół dzieli się na dwie stałe grupy. Pierwszy z nich pracuje pod wodzą Wacława Wścibora, drugiemu przewodzi Wacław Zdanowicz.

Najciekawszy fragment z historii sceny opolskiej zachowują na zakończenie. Teatr Ziemi Opolskiej walcząc ambitnie o najbardziej dopasowane do możliwości swej publiczności ceny miejsc (bilety normalne od 10 do 40 zł; spektakle dla związków zawodowych po zł. 8 za każde miejsce, a szkolne po 10 zł.) dopiero w marcu br. warto powtórzyć: w marcu 1946 roku, a więc po pięciu miesiącach ciężkiej pracy dostał pierwszą subwencję państwową. Przyczyny tego opóźnienia niesłychanie proste: spór o kompetencje. Pięć miesięcy ustalano, kto ma płacić: Ministerstwo Kultury i Sztuki czy Ministerstwo Ziem Odzyskanych. Repertuar?*) Nazwijmy go eklektycznym. To takie mądre, uczone i wiele usprawiedliwiające słowo.

Od „Kordiana" do „Pleców".

Tak, oczywiście, na dalszą metę zostać nie może. Na pierwszy sezon patrzymy przez palce — czas jednak zająć się tą sprawą poważnie. W każdym razie burze w szklance wody o „Plecy", burza z piorunami zarzutów o antydemokratycznej postawie, o reakcji, była nieco za gwałtowna. Tego typu burze wywoływane ze znaną nam powściągliwością w słowach mają brzydką cechę wyrywania młodych, zbyt słabych jeszcze, by te niepotrzebnie gwałtowne wstrząsy znieść z pogodnym nastrojem, pędów. Czy była, gdy teatr borykał się z trudnościami finansowymi, burza o subwencję?

SOSNOWIEC.

Teatr w Sosnowcu pod dyr. p. Polszyka łączy się ze Śląskiem tylko przez utworzenie wspólnego województwa Śląsko-Dąbrowskiego. W zasadzie placówka ta objeżdżająca Będzin, Dąbrowę, Zawiercie, zaglądająca nawet na sale świetlic kopalnianych, związana jest z terenem Zagłębia Dąbrowskiego.

Mała salka (480 miejsc) świeci w dzień powszedni plamami niezajętych foteli. Robotnicy nie mają czasu. Małą pociechą dla kasy jest świadomość, że w niedzielę możnaby wyprzedać pięć kompletów. No i oczywiście w tej sytuacji duże trudności finansowe. Skromna, bo zaledwie 50.000 zł. miesięcznie wynosząca subwencyjka nie potrafi załatać dziur, nie zmieni nic w kłopocie związanym z koniecznością wypożyczania kostiumów z Katowic lub Wrocławia. A jednak? Jednak ceny biletów od 10 — 35 zł., na przedstawienia zakupione przez związki zawodowe 10 — 20 zł., dla szkół 5 — 10 zł. Repertuar tej sceny nie odbiega od ogólnopolskiego poziomu. W bieżącym sezonie wystawiono: Rydla — Zaczarowane koło. (grane 31 razy), Mecz małżeński (26 razy), Wernera — Ludzie na krze (18 razy), Fredro — Śluby panieńskie (19 razy), Buczyńskiej — Obcym wstęp wzbroniony (22 razy), Scribea — Szklanka wody (34 razy), Conners'a — Roxy (30 razy) i obecnie na afiszu „Mąż z grzeczności" — Abrahamowicza.

* * *

Na zakończenie przeglądu osiągnięć trzech śląskich teatrów warto poruszyć ciekawą sprawę. Dyrektorzy zgodnym chórem wyrażają pretensję pod adresem prasy katowickiej (Opole do dziś nie ma własnego pisma — co z zasłużonymi w walce o polskość „Nowinami Opolskimi"?) że na jej łamach nie ma miejsca nawet na komunikaty repertuarowe, nie mówiąc już o recenzjach. Przy innej okazji przedstawiciel tejże pracy, jeden z głównych współpracowników „Dziennika Zachodniego" dr. August Grodzicki stwierdził, że brak miejsca nie pozwala na właściwe naświetlanie w prasie wszystkich przejawów życia Ziem Odzyskanych.

A jednocześnie wszystkie trzy pisma codziennie poświęcają w poniedziałek jedną conajmniej kolumnę na sprawy sportu. Wyniki meczów rozegranych między najsłabszymi drużynami są szeroko omawiane nietylko w poniedziałek, ale i każdego innego dnia.

A w Katowicach wychodzi tygodnik sportowy.

„Dziennik Zachodni" i „Trybuna Robotnicza" dają co niedzielę kolumnę humoru, z którego naprawdę trudno się śmiać.

Wspomniane już twierdzenie o nieumiejętności ustalania ciężaru gatunkowego problemów raz jeszcze znajduje smutne potwierdzenie.

Mieczysław Markowski.

*) Repertuar Teatru Powszechnego Ziemi Opolskiej: 1. Zapolska — Moralność Pani Dulskiej. 2. Bałucki — Grube Ryby. 3. Fijałkowski — Gorąca Krew. 4. Kobiela — Powróciła (widowisko o Śląsku Opolskim wystawione jako prapremiera na kilka dni przed śmiercią autora, prezesa oddziału śląskiego Z. Z. L.). 5. Kobiela — Dar poranka. 6. Mickiewicz — Dziady. 7. Donat — Mała Kitty i wielka polityka. 8. Siedlecki — Sublokatorka. 9. Verneuille — Egzotyczna kuzynka. 10. Conners — Roxy. 11. Niewiarowicz — Gdzie diabeł nie może. 12. Preussner — Miłość na zamówienie (prapremiera). 13. Słowacki — Kordian. 14. Słowacki — Balladyna. 15. Fedor — Matura. 16. Bliziński — Pan Damazy. 17. Bus Fekete — Trafika pani generałowej. 18. Fredro — Damy i Huzary (26 przedstawień). 19. Jurandot — Plecy. 20. Dickens — Świerszcz za kominem.

Spełń obowiązek obywatelski — subskrybuj Premiową Pożyczkę Odbudowy Kraju

Już się ukazał w sprzedaży Nr 2 miesięcznika

„PAŃSTWO I PRAWO"

Organ Zrzeszenia Demokratów w Polsce

„PAŃSTWO I PRAWO" — najpoważniejsze polskie pismo prawnicze omawia szczegółowo wszystkie ważniejsze zagadnienia z dziedziny prawa i ekonomii.

Cena pojedyńczego egzemplarza zł. 55.— - W prenumeracie zł. 150.— kwartalnie

Redakcja i Administracja — Łódź. Piotrkowska 179. Tel. 180-18.
Konto P. K. O. VII — 858.

Kronika kulturalno-naukowa

Zagadnienie popularyzacji nauki w obecnej rzeczywistości polskiej jest jednym z poważniejszych zagadnień, które nie można rozwiązać ani metodą dekretu rządowego ani metodą np. modnego hasła w rodzaju: „frontem do nauki". Zagadnienie to jest tak głębokie i tak specjalne, że wiąże się z takimi kapitalnymi wymiarami jak: ustrój, społeczeństwo czy osobowość uczonych. Od ustroju bowiem zależy czy nauka będzie tylko dla nielicznych i wykorzystywana będzie tylko dla rentowności kapitalistycznych wielkich przedsiębiorstw i trustów, czy jak w ustroju faszystowskim dla budowania machiny niszczycielskiej dla celów wojennych. Od społeczeństwa będzie zależało czy zdobycze naukowe będą wchłaniane szybko za pośrednictwem państwa i szkolnictwa nie tylko pod kątem utylitarnych celów materialnych, ale i dla doskonalenia i wzbogacania życia wewnętrznego tych, którzy naukę cenią i kochają. Od osobowości wreszcie uczonych zależyć będzie czy wyniki badań (np. nad bombą atomową) będą służyły doskonaleniu świata doczesnego czy mają one być wydane w zbrodnicze ręce niszczycieli kultur i cywilizacji globu ziemskiego. Od nich wreszcie zależy czy zdobycze naukowe będą chłonąć masy dla doskonalenia się, czy zrozumieją uczeni, że popularyzację nauki należy uważać za, obowiązek społeczny.

Zresztą same zaznajomienie się z wynikami badań nie wystarcza i nie przyczynia się do zrozumienia społecznej roli nauki. „Należy ją pokazać na tle potrzeb społecznych i rozległych perspektyw historii i cywilizacji, a nie ograniczać się do oderwanych od życia faktów i teorii, gdyż to droga najmniejszego oporu"... „Wartość poznawcza nauki polega na tym, że jest ona dzięki swej metodzie wiedzą o świecie opartą na bezosobowych kryteriach prawdy, niezależną od osobowości badacza ani jego płci, narodowości, wyznania czy pochodzenia klasowego. Drugą zaś jej zaletą jest to, co czasem błędnie uchodzi za wadę — że nie jest systemem ustalonym po wszystkie czasy i nie podlegającym krytyce, lecz że się w miarę poznawania nowych faktów nieustannie zmienia, będąc jednak zawsze najlepszą wiedzą, jaką w danej chwili posiadamy".

W chwili obecnej jesteśmy świadkami budowania w Polsce nowych wartości naukowych i kulturalnych. Odrodzona nauka polska szuka nowych zrębów organizacyjnych, dostosowanych do jej nowej funkcji społecznej w obecnym układzie stosunków. Już dziś zarysowują się dwa poglądy w nauce polskiej. Jeden konserwatywniejszy reprezentowany przez środowisko krakowskie szuka oparcia i funkcji nauki w tradycyjnych formach twórczości naukowej. Drugi, reprezentowany przez środowisko warszawskie a częściowo i łódzkie, rozumiejąc dynamiczność współczesnego świata domaga się od właściwych czynników przebudowy życia badawczego w nowe formy, dostosowane do wymogów rzeczywistości polskiej. Od ogółu wreszcie uczonych wypływają dążności, które są powodowane troską przeciwko dotychczasowemu rozdziałowi nauki od życia, który się objawiał w kulcie t. zw. nauki czystej, który to kult można było zaobserwować u nas przed wojną.

Hasłu „nauka dla nauki" należy przeciwstawić hasło „nauka dla społeczeństwa". „Przeciwstawienie to wymaga jednak wyjaśnień, bo łatwo może doprowadzić do nieporozumień", pisze M. Choynowski w „Życiu Nauki". „Nie chodzi bynajmniej o dawanie wyższości naukom praktycznym, badających najskuteczniejsze metody osiągania zamierzonych celów, nad naukami czystymi, których zadaniem jest budowa poznawczego obrazu świata. To byłby dość wąski i krótkowzroczny utylitaryzm. Idzie natomiast o to, aby nie uważać nauki za dziedzinę kultury, oderwaną od życia, która — jako poszukiwanie prawdy, — jest celem sama w sobie, lub której głównym celem jest zaspakajanie ciekawości oraz radość badawcza i twórcza, lecz aby zrozumieć, że wszelka nauka ma społeczny charakter i celem jej, — jako działalności zbiorowej — jest (w myśl rozumnej postawy społecznej) przede wszystkim dobro człowieka". Cel ten może być osiągnięty tylko wtedy, gdy wprowadzimy jako system popularyzację nauki pojętą jako obowiązek społeczny świata naukowego.

Nie oznacza to naturalnie, aby trzeba było obarczać wszystkich ludzi nauki obowiązkiem popularyzowania właściwych im gałęzi wiedzy. Chodzi o planową organizację popularyzacyjną, chodzi o program współpracy świata nauki z społeczeństwem. Chodzi wreszcie o psychiczne nastawienie społeczeństwa do nauki i świata naukowego, o nastawienie, które nazwalibyśmy lapidarnie „postawą pozytywną". Nauka bowiem jest ceniona przez ogół nie za swą podstawę intelektualną, lecz za swe zastosowania, ale tylko w t. zw. materialnych dziedzinach życia. Szeroki natomiast wachlarz nauk np. humanistycznych czy społecznych nie budzi zainteresowania i jest przyjmowany niechętnie, gdyż nie służy doraźnym namacalnym potrzebom dnia codziennego. Zadaniem polskiego świata naukowego musi być przełamanie tych niechęci. Jest to jedno z wielkich zadań, jakie stoją przed nami; wywołać żywe zainteresowanie się problemami nauki u społeczeństwa.

Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego wskrzesiło stary periodyk p. t. „Wiedza i Życie", którego pierwszy numer ukazał się w bieżącym miesiącu. Niewątpliwie przejęcie „Wiedzy i Życia" przez tę instytucję jest inicjatywą godną pochwały. „Czytelnik" wydaje „Problemy". Wychodzi „Nauka i Sztuka", jako pismo powstałe z inicjatywy prywatnej, wspierane jednak przez Min. Oświaty i Min. Kultury i Sztuki. Wychodzi wreszcie „Meander", czasopismo poświęcone kulturze klasycznej i wartościom twórczym antyku. Te zwłaszcza dwa ostatnie czasopisma stoją na poziomie godnym najlepszych tradycji. Są jednak wspierane stałymi dotacjami rządowymi. Powody? Szczupłe jak zawsze grono czytelników. Historia się stale powtarza. Powstawały u nas pisma, które były wykładnikiem życia umysłowego danej epoki, trwały... i przestały wychodzić. Był nim brak zainteresowań u współczesnych oraz co za tym idzie brak podstaw finansowych. Dziś, gdy wracamy na Ziemie Odzyskane, warto przypomnieć historię pewnego periodyku polskiego p. t. „Poczta Królewiecka", który wychodził w latach 1718 — 1720 w Królewcu. W ostatnim numerze tego pisma zamieszcza wydawca „J. D. Cenkier — drukarz polski" taką notatkę: „Bardzo licha była tego roku obrywka z gazetów Polskich bo mało było Ich Mościów, którzy się w nich kochali. Więc przyjdzie mi tego roku ich poniechać"... Tak działo się na ziemiach, które zostały oddane na stracenie dla kultury polskiej. Nie lepiej bywało i w kraju. Można byłoby wykazać, wiele osiągnięć pozytywnych w dziedzinie kultury, które zrobiono w oparciu o szczupłe grono ludzi. Trzeba nam przeto budować silne podstawy naszej kultury przez zdobycie człowieka, człowieka, który będzie odbiorcą i konsumentem wartości kulturalnych nie doraźnie, ale ciągle. Ustawa biblioteczna oraz demokratyzacja szkolnictwa pojęta szeroko jest tego początkiem. Przyszłość pokaże, czy potrafimy się zdobyć na inne posunięcia bardziej twórcze, które otworzą nam możliwoci rozwoju naszej nauki i kultury według ducha nowych czasów, którym na imię ma być prawdziwa, „zdrowa rewolucyjna treść czasu", oparta na zdrowej demokracji bez uprzedzeń społecznych, czy partyjnych.

J. Ant.

Międzynarodowa Kronika Gospodarcza

Energetyka w Rosji Sowieckiej. Rozwój produkcji przemysłowej i rolniczej w Rosji Sowieckiej jest w dużym stopniu uzależniony od rozwoju przemysłu energetycznego. Dlatego też w planach czwartej piatiletki energetyka zajmuje poważną pozycję.

W ostatnich latach przed wojną produkcja energii elektrycznej w Rosji Sowieckiej silnie wzrosła. W 1928 r. produkcja wynosiła 5 miliardów kilowat/godzin, a na początku wojny 50 miliardów kilowat godzin, czyli w ciągu 11 lat wzrosła dziesięciokrotnie. Przy tym poziomie produkcji Rosja Sowiecka zajmowała trzecie miejsce na świecie po Stanach Zjednoczonych (121 miliardów kilowat/godzin) i Niemczech (77 miliardów).

W obecnej chwili odbudowuje się elektrownie zniszczone przez Niemców oraz buduje się nowe.

Możliwości rozwoju przemysłu energetycznego w Rosji Sow. są olbrzymie dzięki małemu wykorzystaniu energii wolnej i niewykorzystaniu energii wietrznej, ocenianej na 20 miliardów kilowat/godzin rocznie.

Produkcja dotychczasowa opiera się przede wszystkim na t. zw. elektrowniach cieplnych. Wprawdzie koszty inwestycji na 1 kw. mocy w elektrowniach cieplnych są 2—3 razy mniejsze, aniżeli w elektrowniach wodnych, tym niemniej eksploatacja tych ostatnich jest o wiele tańsza. Jest to wynikiem mniejszych wydatków przy energii wodnej na koszty paliwa (zakup i koszty transportu) oraz płace. W czasie wojny elektrownie wodne Związku Radzieckiego dały 15 miliardów kilowat/godzin energii, co spowodowało zaoszczędzenie 15 miliardow ton paliwa.

Rosja Sowiecka dotychczas w minimalnym stopniu wykorzystała swoje zasoby wodne dla produkcji energii elektrycznej. Stopień wykorzystania bowiem wynosi 0,3%, podczas gdy w Ameryce 9,5%, a w Kanadzie 9%. W rezultacie udział elektrowni wodnych w ogólnej produkcji jest niski. Udział ten w 1940 r. wynosił zaledwie 10,6%, podczas gdy w Ameryce wynosił 33%, w Kanadzie 98%, we Francji 54%.

W czwartej piatiletce przewiduje się budowe elektrowni na rzekach Wołdze, Oce i Wrałce. Poza tym mają być budowane elektrownie w okręgach bogatych w paliwo. Jest bowiem rzeczą znacznie ekonomiczniejszą przesyłanie wytwarzanej energii do miejsca spożycia, nawet na wielkie odległości, aniżeli przewożenie paliwa z odległych obwodów.

Już obecnie są prowadzone bardzo intensywne prace nad rozbudową przemysłu energetycznego, w szczególnści w rolnictwie.

W 1945 r. zbudowano, zremontowano i oddano do eksploatacji 587 małych elektrowni wodnych, 903 małych elektrowni cieplnych, zelektryfikowano 3.113 kołchozów i stacji traktorowych. Obecnie jest w budowie 726 małych elektrowni wodnych.

Z zazdrością przyglądamy się powyższym osiągnięciom naszego wschodniego sąsiada. Polska bowiem również posiada olbrzymie możliwości w dziedzinie elektryfikacji, dzięki bogatym zasobom paliwa i znacznym, jeszcze niewykorzystanym siłom wodnym. W szczególności rolnictwo oczekuje elektryfikacji. Jak stwierdzono, w Rosji Sow. wydajność pracy w rolnictwie na skutek elektryfikacji wzrosła dwukrotnie.

Kontrola inwestycyj w Anglii. W Izbie Gmin toczą się obecnie debaty nad projektem ustawy o kontrolowaniu i gwarantowaniu inwestycyj przez państwo (.Inwestments Control and Guarantee Bill"), przedłożonym w imieniu rządu przez kanclerza skarbu. Jest to ustawa o zasadniczym znaczeniu, która, zgodnie z programem Partii Pracy, zmierza do włączenia działalności inwestycyjnej w kadry gospodarki planowej.

Wbrew przewidywaniom, organ kontrolny, przewidziany w ustawie, będzie spełniał jedynie doradcze funkcje. Jest nim Narodowa Rada Inwestycyjna („National Inwestment Concil") pod przewodnictwem kanclerza skarbu, w której skład wchodzą m. in. gubernator Banku Angielskiego i prezes londyńskiej giełdy papierów wartościowych. Istniejące dotychczas poszczególne organy, mające za zadanie wykonywanie wspólnie z władzami państwowymi kontroli nad nowymi emisjami papierów wartościowych oraz finansowanie robót, przedstawiających interes publiczny, zostaną zachowane. Rząd, wprowadzając w życie swój program gospodarki planowej w zakresie kredytów długo- i krótkoterminowych, będzie więc miał do dyspozycji następujące instytucje:

1) Komitet emisyj kapitałowych, utworzony w czasie wojny, który się wypowiada w sprawie wypuszczania papierów przez przedsiębiorstwa prywatne,

2. Urząd, przydzielający kredyty na roboty publiczne,

3. Towarzystwo Kredytów Przemysłowych („Finance Corporation for Industry") i Towarzystwo Kredytów Przemysłowych i Handlowych („Industrial and Commercial Finance Corporation"), instytucje, utworzone przy współudziale Banku Angielskiego dla finansowania zakładania nowych przedsiębiorstw przemysławych, sanowania i modernizacji dawniejszych i t. p.

4. Bank Angielski, upaństwowiony niedawno temu.

Projekty, łączące się z polityką inwestycyjną, będą oczywiście przed przekazaniem ich powyższym organom do realizacji przekładane Narodowej Radzie Inwestycyjnej do zaopiniowania.

Kontrola nad prywatną działalnością emisyjną zostanie zacieśniona. Aprobata kanclerza skarbu będzie potrzebna nawet w przypadku emisji papierów wartościowych, zmierzającej do upłynnienia rezerw i zysków, w razie fuzji dwóch spółek lub przejęcia przez jedną spółkę kontroli nad drugą, w razie zaciągnięcia kredytu zagranicą i w przypadku konwersji. Coroczna amortyzacja papierów wartościowych nie może być odroczona poza termin, przewidziany dla amortyzacji końcowej. Również aprobata Ministerstwa Skarbu jest wymagana dla emitowania papierów przez instytucje, będące specyficznie angielskim tworem, mianowicie t. zw. Inwestments Trusts, specjalizujące się w lokowaniu w najróżniejszych waloraoch oszczędności swoich klientów. Nie podlegają ograniczeniom emisje do 50.000 funtów szterlingów, z wyłączeniem jednak kapitalizacyj rezerw i zysków oraz emisyj, dokonywanych przez przedsiębiorstwa, powstałe po 1 grudniu 1944 r. Żadnym restrykcjom nie podlegają jedynie pożyczki, udzielone przez zakłady kredytowe w granicach normalnej działalności.

Poza celem negatywnym — redukcją prywatnej działalności inwestycyjnej do skali, dopuszczalnej w ramach państwowego planu ekonomicznego — przyświeca projektowi także cel pozytywny w postaci popierania pewnych form działalności gospodarczej, a przynajmniej zapobiegania objawom kryzysowym. W związku z tym Skarb Państwa będzie mógł corocznie udzielać gwarancyj do wysokości 50.000.000 funtów szterlingów.

Z motywów przedłożenia rządowego jasno wynika, że celem jest trwałe poddanie kontroli rządowej całej działalności inwestycyjnej w ramach szczegółowo opracowanych planów, przy czym jedynym kryterium ma być interes społeczny. Rzecz prosta, że ze strony kół przemysłowych i bankowych już teraz padają energiczne zarzuty, w szczególności z powodu skomplikowanego mechanizmu kontrolnego, który musi doprowadzić do znacznego zwolnienia tempa emisyj. Nie wydaje się jednak, by do projektu zostały wprowadzone poważniejsze zmiany. W każdym razie rozciągnięcie nadzoru nad działalnością inwestycyjną w kraju, który zarówno z uwagi na rozmiary obrotów własnymi i cudzymi kapitałami, jak i stopień swobody inicjatywy prywatnej na tym polu był przed wojną klasycznym przykładem gospodarki wielkokapitalistycznej, będzie jedną z prób ogniowych na drodze realizacji hasła gospodarki planowej.

Kapitały europejskie w Stanach Zjednoczonych. Według danych amerykańskiego Ministerstwa Skarbu europejskie avoir'y w USA wynoszą obecnie 12.739.000 dolarów, z czego 2/3 należą do 84.000 Europejczyków. Są to częściowo wkłady bankowe, częściowo udziały w przedsiębiorstwach.

Repartycja tych kapitałów między najważniejsze kraje wygląda, jak następuje:

Anglia 5.375 (w milionach dolarów):
Szwajcaria 1.210 (w mil. dol.).
Francja 1.040 (w mil. dol.).
Holandia 990 (w mil. dol.).
Belgia 313 (w mil. dol.).

BUDŻET CHECHOSŁOWACJI

W dniu 5 marca 1946 rząd czechosłowacki przedłożył tymczasowemu parlamentowi preliminarz budżetu państwowego na 1946 r.

Budżet dzieli się na zwyczajny i nadzwyczajny. Budżet zwyczajny obejmuje normalne wydatki państwa i stałe dochody. Budżet nadzwyczajny dotyczy wydatków związanych z inwestycjami, odbudową i odszkodowaniami wojennymi, a dochody mają charakter dochodów jednorazowych.

Zarówno w jednym, jak i w drugim budżecie wydatki i dochody są podzielone na: 1) centralne, 2) dla ziem czeskich, 3) dla Słowacji. Układ ten odpowiada obecnej organizacji politycznej państwa czechosłowackiego.

W budżecie zwyczajnym suma wydatków wynosi 38.924 milj. Kcs., suma dochodów 31,386 milj. Kcs., deficyt zatem wynosi 7.538 milj. Kcs.

Budżet zwyczajny dzieli się na trzy grupy: 1) administracja państwa, 2) administracja przedsiębiorstw państwowych, 3) administracja długu państwa.

Z ogólnych wydatków na administrację państwową przypada na wydatki personalne 40,68%, na wydatki rzeczowe 59.32%. Ilość urzędników państwowych w stosunku do 1938 r. wzrosła z 453.000 do 529.000.

Udział poszczególnych działów administracji w wydatkach przedstawia się następująco: 1) Centralne władze, jak prezydent, zgromadzenie narodowe i t. p. 0.97%. 2) administracja zagraniczna i wojskowa 17.21%. 3) administracja polityczna 10.84%. 4. administracja sprawiedliwości 2.40%. 5. administracja kultury 14.43%. 6. administracja gospodarcza i komunikacyjna 8.91%. 7. administracja socjalna 13.11%. 8. administracja skarbowa 4.42%. 10. ogólna administracja kasy skarbowej (dług państwowy i subwencje dla zw. samorządowych) 21.71%.

Dochody budżetu zwyczajnego składają się z następujących pozycji: 1) z przedsiębiorstw państwowych (6,16%), 2) z podatków, danin, ceł i opłat (77,60%), 3) z monopoli państwowych (5,28%), 4) z administracji (11,06%).

Podatki bezpośrednie wynoszą 35% wpływów wymienionych w pkt. 2, podatki pośrednie 29%, podatek obrotowy 24%, opłaty 9,5%, cła 2,3%.

W dziale przedsiębiorstw państwowych należy podkreślić wysoki deficyt kolei państwowych (1.232 miliony) i wysoki zysk monopolu tytoniowego (3.513 milj.). Ogółem czysty zysk przedsiębiorstw państwowych objętych budżetem (przedsiębiorstwa niedawno znacjonalizowane nie zostały objęte) wynosi 2.362 milj. Kcs.

W dziale długów państwa są wymienione długi wewnętrzne (79.474 milj. Kcs.) i zagraniczne (13.163 milj.). Łączne zadłużenie państwa wynosi 97.637 milj. Kcs. Zadłużenie przedwojenne (wewnętrzne i zagraniczne) wynosi 40,8 milj., z czasów wojny względnie okupacji — 47,9 milj. Kcs., po oswobodzeniu 8,5 milj. Kcs., (w tym wewnętrzne 6,4, zagraniczne 2,1). Roczna obsługa powyższego zadłużenia wynosi 4.208 milj. Kcs. (oprocentowanie 4.028 milj. Kcs., umorzenia 118 milj. Kcs., administracja 61 milj. Kcs.).

Budżet nadzwyczajny zamyka się po stronie wydatków kwotą 25.076 milj. Kcs., po stronie dochodów 6.406 milj. Kcs. Deficyt zatem wynosi 18.670 milj. Kcs.

Wydatki, jak wyżej zaznaczono, dotyczą inwestycji i odbudowy (17,4 milj. Kcs.), zaliczek na odszkodowania wojenne (4 miliardy Kcs.), oraz dostaw UNRRA (3,4 milj. Kcs.).

Dochody budżetu nadzwyczajnego pochodzą ze sprzedaży dostaw UNRRA (3.500 milj. Kcs., z funduszu odbudowy (1 miliard), z reparacji (1 miliard), z innych źródeł (906 milionów Kcs.).

Łączny deficyt budżetów: zwyczajnego i nadzwyczajnego wynosi 26.203 milionów Kcs. W skali miesięcznej deficyt budżetu zwyczajnego wynosi 600 milj. Kcs., a nadzwyczajego 1.500 milj. Kcs.

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.
Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I—727 Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.
Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.
Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.
Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia" Widok 24 B-07676 Odbito w Drukarni „Czytelnik" Nr. 2, Marszałkowska 3-5.